



GŁOS POLONII



Pismo założone
i redagowane przez PSK
im. J.Bema na Węgrzech

DODATEK „POLONII
WĘGERSKIEJ”

Rok XIV (XXXI) Nr 58
(31) luty 2000 r.

*Karnawałowe zabawy
Polonii*

Polski świat w Paryżu

*„Bieg przez stulecie”
- rozmowa z Camillą Mondral*

Zasłużone wyróżnienia

W dniach 17-18 lutego br. w Krakowie miało miejsce spotkanie ministrów kultury krajów „Viszegradzkiej czwórki”. Pan Zoltán Rockenbauer, węgierski Minister Dziedzictwa Narodowego skorzystał z okazji, aby wręczyć wysokie odznaczenia państwowe osobom szczególnie zasłużonym w pielegnowaniu obustronnych, polsko-węgierskich kontaktów kulturalnych.

W uroczystości zorganizowanej w średniowiecznych ścianach podwawelskiej kawiarni „Michalikowa Jama” minister Rockenbauer w imieniu Prezydenta RW Árpada Göncza wręczył Złoty Krzyż Zasługi Republiki Węgierskiej czterem znanym i szanowanym naszym rodakom, blisko związanym z naszym Stowarzyszeniem, a mianowicie: Edwardowi Dębickiemu - byłemu dyrektorowi Instytutu Polskiego w Budapeszcie, Danucie Jakubiec - dziennikarce, autorce wielu książek o Węgrzech, Mieczysławowi Ostoja-Mitkiewi-czowi - prezesowi „Boglarzyków” oraz Janowi Stolarskiemu - prezesowi Federacji TPP-W w Polsce.

O powyższej uroczystości oraz rozpoczynającym się Festiwalu „Kraków 2000” doniosły liczne media nie tylko w naszych krajach.

Wyróżnionym serdecznie gratulujemy.

Redakcja

W roku 2000 Kraków Będzie jedną z dziewięciu Europejskich Stolic Kultury. Decyzję o przyznaniu tego tytułu podjęli ministrowie kultury Unii Europejskiej w roku 1995. O prestiżu i znaczeniu dla Polski Festiwalu zaświadczać jego patroni - Prezydent i Premier RP. Kraków 2000 jest ogromną szansą promocji dorobku kulturalnego miasta na świecie, szansą którą należy bezwzględnie wykorzystać. Zdaniem wielu Polaków Festiwal pomoże w określeniu pozytywnego wizerunku Polski w kontekście aspiracji państwa do Unii Europejskiej.

Kraków, a wraz z nim Polska, uczci przełom tysiącleci, prezentując tysiąc lat polskiej kultury i podkreślając jej wkład w dorobek cywilizacji europejskiej.

Program Festiwalu jest bardzo bogaty, Kraków 2000 to impreza trwająca cały rok, w której znalazły się wydarzenia ze wszystkich dziedzin sztuki. Będą wspaniałe wystawy, doskonale koncerty muzyczne, spektakle teatralne. Przyczynią się one być może do urozmaicenia kalendarza imprez kulturalnych Krakowa także w latach następnych.

Stolica Małopolski od dawna jest miastem kultury, sztuki oraz nauki. Od sześciu wieków Kraków jest miastem uniwersyteckim, jednym z największych centrów naukowych w Europie. Jako jedyne niemal miasto polskie przetrwało liczne zawieruchy wojenne bez większych zniszczeń. Wspaniała architektura, w szczególności renesansowa, nie jest tylko pięknym skansenem, ale nieustannie tętni życiem. W Krakowie co roku odbywa się prawie



30 różnych festiwali międzynarodowych i ogólnopolskich, działają liczne galerie sztuki, teatry, muzea. Pod Wawelcem mieszka noblistów w dziedzinie kultury - Wisława Szymborska i Czesław Miłosz, oraz takie wybitne postaci, jak Krzysztof Penderecki, Zbigniew Preisner czy Stanisław Lem.

Miejmy nadzieję, że Kraków dzięki Festiwalowi będzie kojarzył się nie tylko nam, ale całej społeczności europejskiej z miejscem, które trzeba odwiedzić. Miastem niezwykle żywym, i przyciągającym jak magnes.

red.



Spotkanie polonijne w Ambasadzie

12 grudnia ub. roku w salonach Ambasady RP odbyło się tradycyjne, doroczne spotkanie polonijne z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Gospodarzem spotkania był pan Ambasador Grzegorz Łubczyk oraz pan Konsul Roman Kowalski. Przybyło ponad dwustu przedstawicieli Polonii niemal z całego Węgier. Uroczystość uświetnił recital kolęd polskich w wykonaniu Marzeny Korzonek z Raciborza poprzedzony okolicznościowym powitaniem Pana Ambasadora:

Szanowni Goście!, Drodzy Rodacy!

W tak uroczystym i ważnym dla nas dniu, jakim jest Oplątek w Ambasadzie dla Polonii - w imieniu Mojej Małżonki, Pana Konsula z Małżonką oraz pozostałych współpracowników witam serdecznie - kierownictwo i członków Stowarzyszeń - „Bema” i św. Wojciecha, przedstawicieli Samorządów Mniejszości Polskiej wszystkich szczebli oraz obecnych tu węgierskich przyjaciół.

Kończy się rok, z kilku powodów dla węgierskiej Polonii szczególny: Sędzia Sprawiedliwy nie miałby trudności z położeniem na dwie szale uczynków dobrych i uczynków nie przynoszących jej chwały. Zanim więc przełamiemy się oplątkiem, wybacząc sobie różne słabości, i w nawiązaniu do słów tekstu znanej piosenki: „nim wypijmy za błędy”, a nasz ksiądz Proboszcz z Kőbányi dopełni swymi życzeniami część oficjalną, krótko podsumuję sprawy inicjatyw i przedsięwzięć dominujących w 1999 roku!

Akcja pomocy dla powodzian z ukraińskiego Zakarpacia, zamieszkałego przez ludność pochodzenia węgierskiego to godny naśladowania przykład współdziałania Ambasady z organizacjami polonijnymi, ze Stowarzyszeniem św. Wojciecha - w pierwszym rzędzie, i jego oddanymi działaczami z panem Károlyem Pálem na czele. Szlachetny cel znalazł poparcie bardzo wielu partnerów wśród instytucji węgierskich.

W efekcie - 30 tysięcy dolarów, które



Linoryt artysty-grafika M. Trojana jako szefowi Placówki udało mi się zdobyć za pośrednictwem MSZ-tu z Urzędu Premiera Rzeczypospolitej - jakby cudownie się rozmnożyły i zamiast planowanych trzech grup w Domu Polskim - przyjęliśmy od stycznia do lipca br. 6 grup - łącznie 150 dzieci i ich opiekunów w połowie Węgrów, w połowie Ukraińców. Ci wszyscy, którzy w miarę swoich możliwości włączyli się do tej akcji mają wielką satysfakcję, jako ci którzy byli autorami kolejnego (skromnego) rewanzu za bezprecedensową pomoc Węgrów polskim powodzianom w roku 1997!

Drugi pozytywny bilans to uhonorowanie 60-lecia uchodźstwa polskiego, tego wyjątkowego rozdziału w historycznych relacjach polsko-węgierskich. Uroczystości w Balatonboglár z udziałem ministrów spraw zagranicznych, Budapeszcie, Makó, Magyarcsonád, Vámosmikola, Rákosszaba, znowu w Budapeszcie z udziałem Prezydenta RP, a następnie w Keszthely, Győr, Esztergomie, Leányfalu i Egerze były przykładem szlachetnego współdziałania samorządów mniejszościowych i organizacji polonijnych, a Ambasada mogła w nich współuczestniczyć i patronować. Najważniejsze, że potrafiliśmy zgodnie powiedzieć węgierskim przyjaciołom:

„Pamiętamy i Dziękujemy”.

Zgoda jak widać buduje, niezgoda rujnuje. Równie dobrze, jak poprzednio, niestety, nie mogę powiedzieć o sytuacji, jaka się wytworzyła wokół i z udziałem Samorządu Krajowego. W tym gronie możemy to sobie powiedzieć.

Uważam, że warunki stworzone przez władze węgierskie nie powinny tutejszej Polonii dzielić, lecz być jak najlepiej wykorzystywane dla wspólnego dobra całej polskiej społeczności, która na swą drugą Ojczyznę wybrała Węgry. Jednak ten problem Polonia musi rozwiązać sama.

Życzę, i mam nadzieję, że rok 2000 będzie rokiem początkującym - mądrą, owocną i pożyteczną współpracę pomiędzy kierownictwami organów samorządowych a organizacjami polonijnymi. Dom Polski na Kőbányi. Życzę mu, by w roku następnym wyszedł z fazy stagnacji, by znalazł życzliwość w Kraju, by wreszcie ruszyła jego przebudowa po znalezieniu rozsądnego kompromisu między jego użytkownikiem a instytucjami z Polski: Senatem dotującym przedsięwzięcie i realizatorem zlecenia - „Wspólnotą Polską”.

W roku następnym - kończącym drugie Tysiąclecie a poprzedzającym początek trzeciego - na ręce naszych drogich weteranów, żołnierzy polskiego Września i Powstania Warszawskiego, całej społeczności polskiej na Węgrzech składam życzenia dynamicznego rozwoju we wszystkich dziedzinach, od oświaty i kultury po gospodarkę, - samorządom - mądrej i wspólnej, podkreślam: - wspólnej - pracy, - stowarzyszeniom - pomysłów i inicjatyw na miarę historycznego przełomu w którym żyjemy, - mediom polonijnym - elektro-nicznym i pisanym, audycji i artykułów, które się słucha z zapartym tchem i czyta jednym tchem, - księdzu Zbyszko-wi Czerniakowi - pełnego kościoła rodaków na nabożeństwach oraz wszystkim, całej Polonii węgierskiej dużo zdrowia i wszelkiej pomyślności w Roku 2000, a wcześniej - pogodnych i rodzinnych świąt Bożego Narodzenia.

Polski opłatek na Węgrzech

WIGILIA W BUDAPESZCIE

Ostatnie polonijne spotkanie opłatkowe z Okazji Świąt Bożego Narodzenia po raz pierwszy od prawie 40 lat odbyło się nie w siedzibie naszego Stowarzyszenia Bema, lecz w sali teatralnej przy Akademii u. 1-3, a więc tam, gdzie znajduje się siedziba Stołecznego Samorządu Mniejszości Polskiej, który był zresztą obok Stowarzyszenia „Bema” współorganizatorem tej pięknej uroczystości. Finansowego wsparcia udzieliło Stowarzyszenie Katolików Polskich p.w. Św. Wojciecha i osiem Dzielnicowych Samorządów Mniejszości Polskiej. A więc tym razem było to rzeczywiście wspólne bożonarodzeniowe spotkanie Polonii budapeszteńskiej. Wielu, zwłaszcza tych starszych członków „Bema”, dla których już samo pojęcie tej uroczystości kojarzyło się ze Stowarzyszeniem, miało nawet początkowo żal do zarządu, że „wyprowadziło” tę tradycyjną uroczystość poza mury organizacji. Ale wkrótce i oni zrozumieli intencję organizatorów.

Ewa Rónay: Za to należą się słowa ogromnego podziękowania kierownictwu „Bema”, że natychmiast pozytywnie zareagowało na sugestię naszą, konsula Romana Kowalskiego

i księdza proboszcza Zbigniewa Czerniaka. Co więcej, garstka osób stamtąd porządnie się napracowała, by wszystko się jak najlepiej udało, by atmosfera uroczystości była taka, jak zawsze w „Bemie”, a więc bardzo rodzinna, serdeczna i niezapomniana, aby nie zabrakło pysznego śledzika i bigosu, który co prawda nie jest potrawą wigilijną, ale za to bardzo polską. Nie będę tu nieskromna, jeśli powiem, że dekorację sali, która tak bardzo się wszystkim gościom podobała, wykonały niektóre koleżanki z Samorządu Stołecznego. Wiele samorządów dzielnicowych początkowo chciało samo urządzać spotkania wigilijne tylko dla swojego małego grona, ale udało się jednak wszystkim przekonać, że w sytuacji takiego rozbicia Polonii, jak obecnie, przynajmniej my w Budapeszcie powinniśmy się razem trzymać. I udało się. Razem świętowało i składało sobie życzenia, dzieląc się opłatkiem prawie trzysta osób (w „Bemie” może się zmieścić niewiele ponad 150). Niektóre z nich po raz pierwszy od



Życzenia Ambasadora naszym paniom

żoną i inni przedstawiciele ambasady RP. Mieliliśmy również gości z zagranicy w osobach Piotra Radowskiego, prezesa Forum Polonii w Austrii i jego zastępcy, dr. Andrzeja Pawłowskiego z Małżonką. Naturalnie nie mogło zabraknąć wśród nas ks. proboszcza Zbigniewa Czerniaka i przybyłego na rekolekcje adwentowe ks. Marka Jarzabka z Towarzystwa Chrystusowego, którzy wprowadzili nas w atmosferę Bożego Narodzenia czytając odpowiedni fragment Pisma Świętego

Wieczór uświetnił swym występem 8-osobowy zespół „Huncwoty” z Wieliczki, który w pięknych strojach krakowskich wykonał polskie koledy i pastorałki. Oczywiście później wszyscy razem z nimi śpiewaliśmy. Wydaje mi się, a powtarzam tu opinię wielu osób, że ten pierwszy wspólny wieczór opłatkowy, który odbył się w ostatnią sobotę przed Bożym Narodzeniem, udał się dobrze i w przyszłości stanie się już tradycją. Najważniejsze, że byliśmy razem, że staropolskim zwyczajem dzieliliśmy się opłatkiem i stanowiliśmy tego wieczoru naprawdę jedną dużą polską rodzinę.

A.K.: Jak Ci się wydaje, kiedy nastąpiło to rozbicie Polonii, o którym obecnie tak często się mówi.

E. R.: Należałoby tu moim zdaniem cofnąć się trochę do historii: Jak wiadomo od 1958 r. istniało na Węgrzech jedno tylko stowarzyszenie



Pod wspólną choinką



Szczere, serdeczne życzenia świąteczne

Bema, które od końca lat osiemdziesiątych rozszerzyło swą działalność, zakładając oddziały w większych skupiskach polonijnych na terenie kraju. W 1993 r. powstało Stowarzyszenie Św. Wojciecha, co samo w sobie wywołało pewien rozłam. Jak pamiętamy w 1994 r. na mocy ustawy mniejszościowej również my uznani zostaliśmy za jedną z trzynastu mniejszości narodowych i mogliśmy utworzyć Samorządy Mniejszości Polskiej, dotowane z budżetu państwowego. Już w pierwszej kadencji w samorządach znalazło się wiele osób, nie mających za sobą wcześniejszej działalności na rzecz Polonii. Ale byliśmy wówczas trochę w sytuacji przymusowej, bowiem ci znani działacze polonijni najczęściej nie mieli jeszcze obywatelstwa węgierskiego. Znacznie gorsza sytuacja, jak sobie przypominamy, zaistniała podczas kolejnych wyborów samorządowych w listopadzie 1998 r. W całym kraju powstały aż 34 samorządy. W zdecydowanej większości utworzyli je ludzie, często nawet z tej samej rodziny, którzy z Polonią naprawdę niewiele mają wspólnego. Często nie znają języka, nie znają kultury i tradycji polskiej, a przecież pielegnowanie tego ma być głównym zadaniem samorządów. W OSMP zaledwie parę osób mówi po polsku, a osoby mające polskie pochodzenie są w absolutnej mniejszości. No cóż, ale w myśl ustawy do

samorządów mniejszościowych mogą być wybierane osoby, których jedyną zaletą jest to, że są sympatykami danej mniejszości.

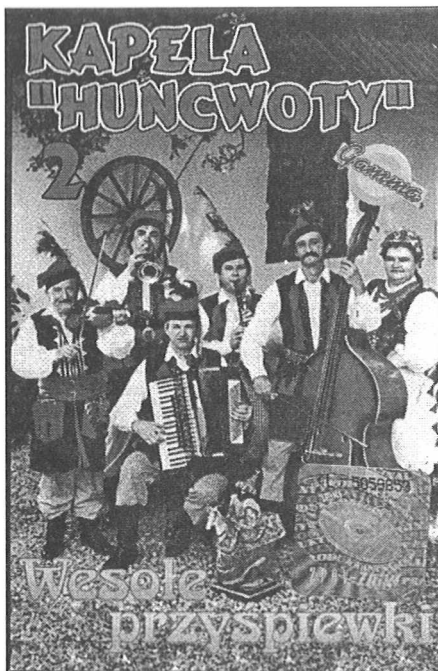
A.K.: Pierwsze miesiące pokazały, że organizacje cywilne, borykające się z ogromnymi kłopotami finansowymi absolutnie nie mogą liczyć na żadną pomoc ze strony Samorządu Ogólnokrajowego. Co więcej, niemal od pierwszej chwili tj. od lutego ub. roku kierownictwo Samorządu totalnie je ignoruje. Na szczęście jednak Stołeczny Samorząd, w skład którego wchodzi raczej osoby znane w środowisku polskim, zachowuje się inaczej....

E. R.: Niemal zaraz po ukształto-

waniu się naszego Samorządu postanowiliśmy stworzyć tzw. wspólną kasę, do której my i każdy z samorządów dzielnicowych wpłaciłby po 10% ze swego budżetu. Nie wszystkim się to spodobało, ale większość samorządów wpłaciła. Tak więc mogliśmy pomóc „Bemowi”, „Św. Wojciechowi”, polskiemu kościołowi parafialnemu, Katedrze Filologii Polskiej na Uniwersytecie w Budapeszcie, redakcji polskiego radia, działającemu przy „Bemie” zespołowi folklorystycznemu „Dwa Bratanki” i Klubowi Seniora. Ten ostatni otrzymał pewne fundusze nie tylko na działalność, ale i na zwrot kosztów leków dla osób znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej. Trzy samorządy dzielnicowe bezpośrednio pomogły „Bemowi”, kościołowi i „Dwóm Bratankom”, a inny „Św. Wojciechowi”. Uroczystość opłatkową Polonii budapeszteńskiej zorganizowaliśmy rzeczywiście wszyscy razem. Ale już wcześniej były próby takiego porozumienia. Przypomnę tu choćby „wigilię” z 1998 r. w Bemie, którą finansowo wspomogły samorządy V i XIII dzielnicy, uroczystość „jajeczka” wielkanocnego w Bemie wspartą finansowo przez samorząd XIII dzielnicy, piękny wieczór literacko-muzyczny z okazji 150 rocznicy śmierci Juliusza Słowackiego, Sándora Petőfi’ego i Fryderyka Chopina zorganizowaną przez Stowarzyszenie



Życzenia sukcesów we wspólnej pracy na rzecz Polonii



Bema, ale przy współpracy z samorządem V dzielnicy. Do organizowanej przez nas w ubiegłym roku uroczystości z okazji Święta odzyskania Niepodległości dołączył natychmiast „Bem” i parę samorządów dzielnicowych, dzięki czemu były one na wysokim poziomie. Rozpoczął się nowy rok, a z nim nowe plany. Wydaje mi się, że w oparciu o ubiegłoroczne doświadczenia łatwiej będzie się nam porozumieć w wielu sprawach i łatwiej ze sobą współpracować. Żywimy też nadzieję, że i odpowiedzialne władze węgierskie będą próbowały zmienić ustawę mniejszościową w taki sposób, by nie powtórzyła się sytuacja z 1998 i 99 roku, kiedy to do mniejszościowych władz samorządowych, nie tylko zresztą polskich, weszli ludzie nie rozumiejący ani zadań, ani potrzeb reprezentowanej przez siebie społeczności, i że organizacje cywilne, dzięki nieustraszonej pracy których przetrwała kultura polska i język polski, nie znajdują się w takiej sytuacji, jak w ubiegłym roku. Na to jednak trzeba czekać jeszcze trzy długie lata.

Dziękuję za rozmowę
Notowała: Alicja Korupczyńska

SPOTKANIE OPLATKOWE W SZÉKESFEHÉRVÁR

Z całą pewnością najbardziej aktywnym oddziałem Stowarzyszenia Bema jest Székesfehérvár, gdzie i Polonia jest po Budapeszcie największa. A poza tym właśnie w tym mającym tysiącletnią przeszłość mieście udało się wybrać taki Samorząd Mniejszości Polskiej, który znakomicie potrafi współpracować z Klubem Polskim. Najlepszym tego przykładem było spotkanie opłatkowe połączone z Mikołajem dla dzieci w dniu 19 grudnia. Przybyły nań całe rodziny nie tylko z samego Székesfehérváru, ale i z okolic. Na gości czekały pięknie i bogato zastawione stoły, prezentujące kunszt kulinarny naszych polskich pań, dzieci ze szkółki polskiej z pięknym programem bożonarodzeniowym i wspaniałą, przyjacielską atmosferą. Centrala Bema przywiozła „w prezencie” 8-osobowy zespół wielickich „Huncwotów”, który wystąpił z kołędami i pastorałkami nie tylko dla zgromadzonej tam Polonii, ale i na koncercie w sali teatralnej, odbywa-



Wspólna Wigilia w Székesfehérvár

jącym się dla dzieci i ich rodziców z całego miasta. Na uroczystość przybyli też pan konsul Roman Kowalski, ks. proboszcz Zbigniew Czerniak i przedstawiciele miejscowych władz. Było tradycyjne łamanie się opłatkiem i składanie sobie życzeń, a potem, już po kolacji i koncercie Huncwotów wielogodzinne wspólne śpiewanie znanych pol-

skich piosenek. Zespołowi z Wieliczki towarzyszył na gitarze przewodniczący Klubu Polskiego, znany działacz Andrzej Straszewski. I gdyby nie fakt, że gospodarze Domu Przyjaźni (Barátság Háza), gdzie znajduje się siedziba Klubu Polskiego, już bardzo chcieli pójść do domu, moglibyśmy tam siedzieć do rana. „Huncwoty” nawet musiały przełożyć swój wyjazd na poniedziałek rano. Ale warto było. Było to dla nich, dla nas naprawdę cudowne spotkanie.

(a)

WIGILIA W SZEGEDZIE

Mniejszość polska w Szegedzie na czele z oddziałem Stowarzyszenia Bema obchodziła Wigilię 1999 r. w Domu Mniejszości Narodowych (Kisebbség Háza). W porównaniu z latami minionymi, kiedy spotykaliśmy się w warunkach wręcz polowych, już po raz drugi mogliśmy obchodzić Gwiazdkę w odnowionym, obszernym i wygodnym budynku. Frekwencja jak zwykle dopisała, kilka rodzin przybyło nawet spoza Szegedu. Atrakcją wieczoru był występ dzieci z naszej sobotniej szkółki (przybycie kołędników do wiejskiej chaty, w której dziewczęta ubierają właśnie choinkę). Było również tradycyjne dzielenie się opłatkiem przywiezionym z Polski i stół zastawiony wigilijnymi potrawami, takimi jak: barszczyk z uszkami, smażony karp, sałatki, sernik i inne specjały domowej roboty. Kolędy śpiewaliśmy do późnego wieczora.

Wigilia Bożego Narodzenia to szczególnie polskie święto, święto zapamiętane z dzieciństwa, święto kołęd, świątecznych potraw, prezentów pod choinką i rodzinnego ciepła. Myślę, że coś z tej atmosfery odczuwaliśmy tu wszyscy podczas tego spotkania.

Małgorzata Suszczyńska

Zabawy sylwestrowe i karnawałowe

SYLWESTER NA „STO DWA”

Mowa to oczywiście o ostatniej zabawie sylwestrowej, pierwszej od wielu, wielu lat w „Bemie”. Ale i okazja ku temu była nadzwyczajna – nie tylko powitanie nowego roku, lecz nowego wieku i nowego tysiąclecia. Kilka pań podjęło szybką decyzję przygotowania przyjęcia (pyszne gołbki z kapusty, schab nadziewany, wspaniałe słodkie wypieki). Goście z Warszawy dowieźli jedyny w smaku polskie śledziki (po kaszubsku i staropolsku) i wędliny. A do tego świetne nagrania muzyczne, z przewagą naturalnie polskich, stworzyły niezapomniany nastrój. Wszyscy wówczas (ponad 40 osób) byli i gośćmi i gospodarzami. Zabawa trwała do białego rana. Co poniektórzy wyszli w nocy na wybrzeże Dunaju, by podziwiać pokaz ogni sztucznych, który jednak z powodu gęstej mgły po prostu się nie udał, ale zdążyli jeszcze wrócić o samej północy, by złożyć sobie życzenia. I pomyśleć, że wówczas w nocy przekroczyliśmy próg XXI wieku, który

jeszcze niedawno wydawał nam się tak daleki, że aż nieosiągalny.

Oby ten rok i wszystkie następne trzeciego tysiąclecia były naprawdę szczęśliwe dla nas, naszych rodzin, wszystkich znajomych i nieznajomych. I oby cała nasza Polonia na Węgrzech czuła się ze sobą tak związana, jak w tę niezapomnianą noc sylwestrową w Bemie.

(m.n.)

BYŁ RAZ BAL NA STO PAR...

A był nim Pierwszy Bal Budapeszteńskiej Polonii w dniu 22 stycznia w pięknej sali balowej hotelu Agro na Normafa, zorganizowany przez Stołeczny Samorząd Mniejszości Polskiej.



Powitanie roku 2000

Otwarcia balu dokonali: przewodnicząca Ewa Słaba Rónay i jedyny mężczyzna w SSMP, Rikárd Wygocki. Zabawa była naprawdę szampańska i trwała niemal do świtu. A co poniektórzy, niezmordowani tańcami, postanowili zażyć świeżego powietrza, robiąc jeszcze kilkukilometrowy spacer aż do Dworca Południowego.

Mistrzem ceremonii był jeden z naszych polonusów, Krzysztof Szczerba, wodzirejem natomiast znana prezenterka TV Polonia, Małgorzata Jarecka. Jak się okazało, z okazji balu była po raz pierwszy w Budapeszcie i właśnie wtedy obchodziła swoje urodziny (urodziła się 23 stycznia). Stąd piękny bukiet kwiatów, którymi została obdarowana. Do tańca przygrywał zespół Domu Kultury Rafinerii w Jaśle pod kierownictwem Zbigniewa Breja, a znakomity jak zwykle Wojciech Siemion dał nie tylko wspaniałe „koncert” recytując ni mniej ni więcej tylko Koncerta Jankiela z „Pana Tadeusza”, poemat Kazimierza Przerwy-Tetmajera „Jak Janosik tańczył z cesarzową” i parę pastorałek, ale pokazał także prawdziwą klasę w oberku i polce, nie mówiąc już o polonezie, którego chyba żaden Węgier nie potrafił dobrze jak on zatańczyć. W programie balu znalazł się również pokaz pięknych sukni ślubnych, komunijnych i okazyjnych (oj, posypią nam się śluby!) z wypożyczali pani Beaty Rozkuszki (naturalnie Polka) z



Panie wodzirejki: Ewa Rónay i Alicja Nagy



Królowie parkietu

Kőbánya, a także odbył się wybór królowej i króla balu. Kandydaci do tytułu musieli nie tylko wykazać się wielką klasą na parkiecie, ale także wiedzą z zakresu historii i współczesności Polski.

Mimo, że był to, jak wynika z nazwy, Bal Budapeszteńskiej Polonii, przybyło nań także sporo przedstawicieli Polonii m.in. z Debreczyna i Dunaújváros.

I ja tam byłam, szampana i wino piłam, świetnie się bawiłam i z niecierpliwością czekam już na następny karnawał w nadziei, że SSMP ponownie zorganizuje Bal Budapeszteńskiej Polonii.

(AN)

P.S. Sponsorami byli: PLL LOT – oddział w Budapeszcie, BAU ELF Sp. z o.o. i wspomniana już wypożyczalnia sukien pani Beaty Rozkuszki.

TRADYCJE KARNAWAŁOWE NASZEJ POLONII

B.B-Sz. - Spotykamy się parę godzin po pierwszym balu budapeszteńskiej Polonii, który odbył się 22 stycznia 2000 roku w nad-



Polska muzyka w wykonaniu zespołu z Jasła

dunajskiej stolicy, a jego organizatorem był Samorząd Stołeczny Polskiej Mniejszości Narodowej, zaś gospodynią jego przewodniczącą dr Ewa Słaba - Ronayné.

E.S-R. - Bale polonijne organizowane są na całym świecie, ale o ile wiem tutejsza Polonia dotychczas takich prawdziwych balów nie urządzała. Nie znaczy to, że w karnawale wcale się nie bawiliśmy. Stare zwyczaje zawsze istniały, chociażby wiem o zabawach organizowanych w Domu Polskim na Kőbánya w latach 30-tych. Później organizację zabaw karnawałowych przejęło Stowarzyszenie im. J.Bema. W tym roku bal dla Polonii budapeszteńskiej zorganizował Samorząd Stołeczny. Wzięli w nim udział nie tylko Polacy zamieszkali w stolicy, ale przyjechali także z innych miast, miejscowości węgierskich i mam nadzieję, że wszyscy byli zadowoleni, tym bardziej, że program balu był bardzo bogaty i urozmaicony.

- Pomówmy może właśnie o programie.

- Bal otworzył polonez. Uważaliśmy, że na polskim balu powinniśmy się bawić przy dźwiękach muzyki polskiej i dlatego zaprosiliśmy zespół muzyczny z Jasła. Zabawę prowadziła znana dla wielu z nas prezenterka TV Polonia pani Małgorzata Jarecka. Zaszczynnym gościem, który wystąpił w programie rozrywkowym był znany wszystkim aktor pan Wojciech Siemion.

- Słowem udana impreza. Czy w przyszłym tradycja ta będzie kontynuowana?

- Napracowaliśmy się bardzo dużo przygotowując imprezę, lecz człowiek zapomina o wysiłku gdy odnosi sukces. Według zgodnej opinii, wszyscy bardzo dobrze się bawili i to chyba zobowiązuje nas do tego, aby w przyszłym roku ponownie zorganizować bal karnawałowy Węgierskiej Polonii, który stanie się może na stałe tradycją.

- Dziękuję za rozmowę.

Bożena Bogdańska-Szadai

Z programów Naszego Radia

A JEDNAK PO NAS MOŻE COŚ ZOSTANIE?

„Dobry wieczór - witam Państwa bardzo serdecznie w setnym wydaniu naszej audycji. Okazuje się, że od 11 stycznia 1998 roku wyemitowaliśmy na antenie węgierskiego radia 50 godzin programu w języku polskim. 321 osób - wśród nich znani politycy, ludzie sztuki byli gośćmi naszych audycji. Byliśmy świadkami wielkich wydarzeń i zwyczajnego codziennego życia polonijnego. Staraliśmy się wiele miejsca poświęcać pielęgnowaniu polskiej kultury i tradycyjnej polsko-węgierskiej przyjaźni. Słuchają nas starsi i młodzi, czego dowodem są listy, które do nas docierają. Pragnę Państwa zapewnić, że zrobimy wszystko, aby nasze kolejne audycje były jeszcze bardziej interesujące, aktualne i pobudzały aktywność tutejszego środowiska ...” - takimi słowami 5 grudnia ub. roku rozpoczęłam 100 audycję w języku polskim na falach RW.

Bardzo było mi miło, że wśród gości, którzy zaszczytili nas tego dnia był pan Marian Trojan - chyba najwierniejszy słuchacz i pani Helena Révész - wszystkim znana seniorka wśród naszych Polonusów, której rady i uwagi towarzyszyły od początku nadawania naszego programu. Podobny jak my jubileusz obchodzili również Grecy, a więc symboliczną lampkę szampana publicznie na antenie - wypiliśmy z naszą redakcyjną koleżanką *Antagóna Szabó* i naturalnie nie obyło się bez udziału najpopularniejszego wśród naszych słuchaczy - co wyka-

zały zeszłoroczne sondaże - Zespołu „Czerwony Tulipan” z Olsztyna.

Zwykle słuchacie Państwo piosenek tego zespołu, ale tak naprawdę nigdy nie starczyło nam czasu na szerszą informację o nim. Otóż założycielem od 15 lat istniejącego zespołu jest Stefan Brzozowski, który w latach 60-tych, mając 15 lat nauczył się grać na gitarze w reprezentacyjnym zespole ZHP „Krusyna”, i pamiętam - wszak razem tam dorastaliśmy - śpiewał coś co później nazwano począł śpiewaną. Następnie przyszło „Niebo” wygrywające liczne konkursy ogólnopolskie i festiwale piosenki. Od 1982 do 1984 roku występował z zespołem „Kaczki z nowej paczki”, a od 1985 roku pra-

momentach zadają od razu liczne pytania typu, czy o środowisko intelektualne, a może naukowe tu chodzi? A może olsztyniacy posiadają wady i zalety krakowian, no bo przecież zamek olsztyński to nie Wawel, a Łynie daleko do Wisły. Na pewno jednak mamy coś wspólnego z Krakowem w jednym, małą, ale zawsze - tradycję kabaretową. I chociaż władze kulturalne w naszym grodzie nie zrobiły nic, by stworzyć olsztyńską „Piwnicę pod Baranami”, to lokalni kabaretowicze trzymają się i znani są bardziej w Polsce niż u siebie w domu. A wszystko dzięki uporowi i talentowi grupy artystów którym przewodzi świecąc przykładem Stefan Brzozowski. Jest on niewątpliwie olsztyńskim

Piotrem Skrzyneckim, Zygmuntem Koniecznym i Ewą Demarczyk w jednej osobie”. No właśnie - nic dodać, nic ująć.

Proszę Państwa, ktoś zapytał mnie czego życzyłabym sobie na rok 2000. Okazało się, iż życzenia moje zbiegły się z prośbami naszych wielu słuchaczy. Otóż chciałabym, aby „Czerwony Tulipan” odwiedził Budapeszt i na żywo zaprezentował się naszej polonijnej widowni.

Mam wielką nadzieję, że dzięki poszukiwanym przeze mnie sponsorom występ taki dojdzie do skutku, a tymczasem zapraszam do słuchania naszych audycji, które nadawane są w każdą niedzielę na falach średnich i długich o godz. 21,30 w Budapeszcie - 873 MHz, Debreczynie 91,4 MHz, Miskolcu 1116 kHz, Pécsu 873 MHz, Szolnoku 1350 kHz i Nagykanizsa 71,3 MHz. Ponadto styszalni jesteście w wielu częściach świata za pomocą satelity Eusat I - obok fonii TV Duna.

A więc do najbliższego spotkania.

Bożena Bogdańska-Szadajowa
kierownik Redakcji Polskiej RW



Zespół „Czerwony Tulipan”

kuje w zespole „Czerwony Tulipan”. Od początku kształt artystyczny zespołu tworzyli: *Ewa Cichocka* - śpiew, *Krystyna Świątecka* - śpiew, *Stefan Brzozowski* - śpiew, gitara akustyczna i kierownictwo artystyczne. Od 1992 roku w zespole gra znakomity gitarzysta Andrzej Czamara. Na swoim koncie mają niezliczony szereg nagród i wyróżnień festiwalowych, ale wydaje mi się, że najbardziej klimat zespołu oddają słowa napisane przez *Tadeusza Prusińskiego*: „Niezniszczalny 15-letni Tulipan. Odważni w sądach twierdzą, że Olsztyn jest swego rodzaju Krakowem północnych regionów Polski. Kpiarze w takich

Audycje z cyklu: „Polskie ślady na Węgrzech”

Prezentujemy Państwu kolejne audycje z cyklu „Polskie ślady na Węgrzech”, które prowadzi kolega Jerzy Kochanowski w każdą drugą środę miesiąca. Zamieszczone tu rozmowy zostały zarejestrowane w styczniu i lutym br.

PARLAMENT

- *Jurku, jest styczeń. Rozpoczynamy trzeci rok nadawania polskiego programu radiowego dla tutejszej Polonii. Stałą, comiesięczną pozycją programu jest redagowana przez ciebie audycja. - Co usłyszymy dzisiaj?*

- 1 stycznia br. miała w Budapeszcie miejsce niezwykle ceremonia. Korona św. Stefana - symbol państwowości Węgier - została przewieziona w uroczystym orszaku z Muzeum Narodowego do gmachu Parlamentu i wystawiona na widok publiczny.

Już pierwszego dnia oglądnięto ją kilka tysięcy mieszkańców. Wydarzenie to rozpoczyna obchody milenijnego roku, kraju naszych „bratanków”. Jednak dzisiaj nie o Św. Koronie, którą - wierząc legendzie - papież Sylwester II miał pierwotnie przekazać Chrobremu - lecz o parlamencie.

- *Czyżby i tam znajdowały się polskie ślady?*

- I to jeszcze ile! Wiadomo, że gmach ten budowano niemal ćwierć wieku, ukończono w pierwszych latach naszego stulecia. Głównym materiałem budowlanym, oprócz tzw. dużej cegły, był

miękki kamień wapienny wydobywany w dzisiejszej dzielnicy stolicy - Köbánya, wówczas gminy, której znaczną część mieszkańców stanowili zarobkowi imigranci z Polski. Proszę, oto pośredni przykład związku jaki posiadamy z drugą co do wielkości byłą metropolią monarchii austro-węgierskiej, która owym czasie przeżywała swą świetność. Dość powiedzieć, że niemal wszystkie znaczące budowle, dominujące w dzisiejszej panoramie Budapesztu powstały właśnie wtedy.

Wśród bogato zdobionej elewacji ściany frontowej Parlamentu znajduje się ponad dwiesięć herbów miast historycznych tzw. Wielkich Węgier.

Naturalnie są także herby 13-tu miast Spiszu i Orawy, które przez ponad trzy i pół wieku należały do Polski.

No, ale wejdźmy do środka i szukajmy interesujących nas śladów. Naturalnie nie możemy się oprzeć bogactwu złożonych ornamentów i licznych dzieł sztuki niemal w każdym miejscu tej wspaniałej budowli. W czasie gdy go budowano był to obiekt o największej na świecie kubaturze.

W głównej sali na 16-tu filarach podtrzymujących potężną kopułę umieszczono postacie zasłużonych

władców węgierskich. Tu pierwsze „poloniki”: troje z nich odegrało znaczną rolę również w naszej historii, a mianowicie - Św. Władysław, Ludwik Węgierski i Stefan Batory.

W północnym skrzydle budynku znajduje się Sala Senacka (Trzeba wiedzieć, że do 1945 roku węgierski Parlament był dwuizbowy). Tu wśród sześciu monumentalnych fresków ściennych znowu widzimy wspomnianych królów węgierskich: na pierwszym Św. Władysław przedstawiony w momencie rozdawania ludowi leczniczych ziół, na drugim Ludwik wydający polecenie budowy kościoła w Koszycach.

Również w tej sali na fasadzie podejścia prezydialnego znajdują się godła wszystkich siedmiu panujących na Węgrzech dynastii, wśród nich: herb dynastii Jagiellonów.

- *To właśnie ten herb po lewej stronie mównicy widzimy podczas każdorazowej transmisji telewizyjnej z obrad Parlamentu?*

- Dokładnie tak. Ale to nie wszystkie polskie ślady. W sali zwanej Nandorfehérvár (węgierska nazwa miasta Belgrad) stanowiącą poczekalnie gabinetu Prezydenta znajdują się ścienne freski malowane w 1929 roku przez Gęzę Udvary'ego. Na jednym z nich zatytułowanym „Kossuth Lajos wśród przywódców narodowyzwoleńczego powstania 1848 r.” znajduje się postać gen. Józefa Bema.

W Wielkiej Sali zwanej przez dziennikarzy Salą Myśliwską wśród olbrzymich malowideł ściennych znajdują się widok zamku w Niedzicy.

- *Dziękuję ci w imieniu słuchaczy i - myślę oboje - zapraszamy wszystkich do zwiedzenia tego niezwykłego obiektu.*

B.B-Sz.

TOKAJ

- Witam Cię Jerzy. Co usłyszysz i dowiemy się od Ciebie dzisiaj?

- Nie wiem czy wiesz, że to dzięki nam - Polakom, węgierskie wino zdobyły europejską sławę. Pomyślałem o tym gdy niedawno, będąc przeziębionym - wiadomo: ostra zima - robiłem sobie tzw. „grzańca”.

- Muszę przyznać, moja wiedza jest w tym zakresie skromna...

Faktem jest, iż już w XV wieku magnaci polscy głosili powszechnie, że nie ma na świecie wina, które równać by się mogło z tokajem, dlatego też płacili za niego każdą cenę. Według przywileju z roku 1454 szlachcic polski, który sam transportował i pilnował konwoju zakupionego na swoje potrzeby tokaju, zwolniony był z płacenia cła.

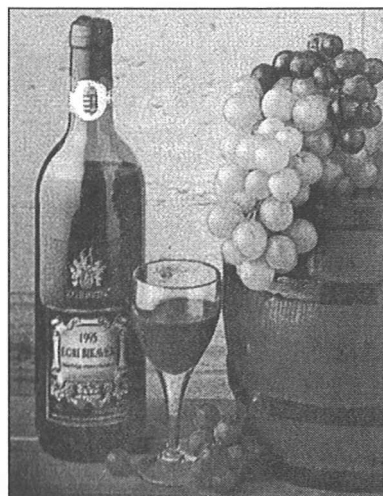
- Przywilej ten przestał chyba funkcjonować bowiem ceny węgierskich win są obecnie w Polsce bardzo wysokie.

- Niestety tak, a szkoda. Przecież wino jest bardzo zdrowym napojem, naturalnie, gdy spożywamy go z umiarem. Przez wiele stuleci stosowany był jako lek przy schorzeniach żołądka i jelit. W czasie gdy nie znano jeszcze środków narkotycznych przed operacją pojono chorego ciężkim winem tokajskim. Drogą na szlaku Tokaj - Kraków - Warszawa - Gdańsk często przemierzały karawany beczkowozów z „węgrynem”, a o zaletach tego trunku pisali słynni nasi poeci i pisarze. Pierwsze tego typu hymny pochwalne powstały u nas w końcu XV wieku, za czasów panowania na Węgrzech

Władysława II Jagiellończyka zwanego tu jako Dobzse László. Przez okres ponad trzech lat gościł na zamku w Budzie swego kuzyna, przyszłego króla Polski Zygmunta Starego, który stał się wielkim konsekerem tego trunku.

Za Stefana Batorego węgierskie wino były już powszechnie znane i cenione w naszym kraju. Według starego polskiego zwyczaju podczas świąt i uroczystości nie mogło zabraknąć tokajskiego wina. W czasie wesel pito wino z rocznika narodzin panny młodej. Wśród polskich przysłów ludowych wiele jest mówiących o węgierskim winie. Najbardziej znane przysłowie to: „Nie ma wina nad węgryna!”.

Z historią węgierskiego winiar-



stwa ścisły związek ma kupiecka rodzina Fukierów z Warszawy. W swoich piwnicach posiadali oni zawsze najbogatszy zestaw win magyarskich z rejonu Tokaju. Podczas dostojnych wydarzeń państwowych, czy ceremonii dworskich, głowa rodu zaszczycała

tę okazję wyjątkowo cennym, starym rocznikiem węgryna. W 1764 roku Antoni Fukier dostarczył na stoły uczyty koronacyjnej Augusta Poniatowskiego stare - 160-cio letnie wino tokajskie. Inny członek rodziny, niejaki -Teofil - z okazji koronacji Franciszka Józefa na króla Węgier w 1867 roku uczcił to wydarzenie ofiarowując równie stary trunek. Podczas kolejnej takiej ceremonii, już w naszym wieku, bo w 1916 roku, ostatni król Węgier - Karol Habsburg otrzymał w prezencie od Henryka Fukiera z Warszawy trzy butelki tokajskiego wina z 1606 roku!.

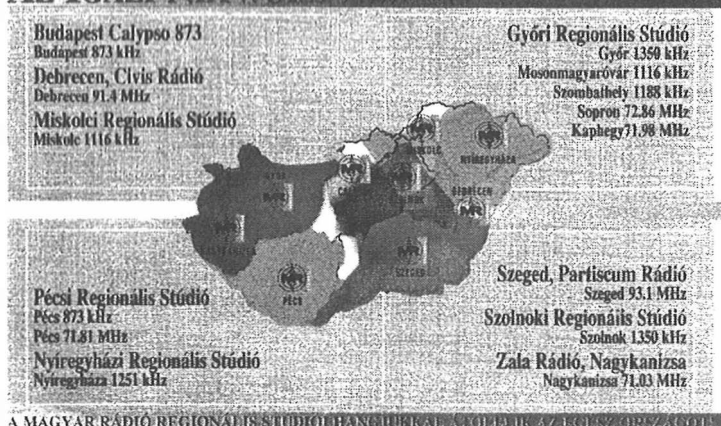
Niech ktoś zatem powie, że my Polacy nie znamy się na winie i nie cenimy tego trunku. Ale jeśli ktoś chciałby więcej dowiedzieć się o historii winiarstwa zachęcam do odwiedzenia Muzeum Win na Wzgórzu Zamkowym, gdzie można je również skosztować. Podobnie zresztą delectować się możemy węgierskim winem w Warszawie, na Starym Rynku u Fukiera.

- Dziękuję w imieniu słuchaczy i do usłyszenia za miesiąc.

Notowała: B.B-Sz.

MAGAZYN POLSKI - program o nas i dla nas
nadawany od 1 stycznia 1998 roku
na antenie Węgierskiego Radia
w każdą niedzielę o godz. **21.30**
na następujących częstotliwościach:

AZ IGAZI NETWORK RÁDÍÓ!



A MAGYAR RÁDÍÓ REGIONÁLIS STÚDIÓI HANGJAIKAT A KÖLTŐK AZ ÉGÉLY ORSZÁGOT!

A ponadto w całej Europie za pomocą satelity
(tam gdzie głos TV Duna)

ZAPRASZAMY DO SŁUCHANIA !

Polski świat w Paryżu

Aby trafić na polskie ślady w Paryżu nie trzeba wiele błądzić. Znana jest rola Polaków w wojnach Napoleońskich, a roczniki historyczne podają również, że po krwawym zdławieniu walk wolnościowych 1830-31, metropolia nad brzegiem Sekwany stała się dla Polaków „zastępczą” stolicą.

Tutaj książę Czartoryski zorganizował - na wyspie świętego Ludwika, w pałacu Lamberta - centrum nieistniejącego państwa polskiego. Jako emigrant książę Czartoryski odegrał również ważną rolę w międzynarodowej dyplomacji. W maju roku 1849 udało mu się zorganizować spotkanie przy Łászló Telekiego, wysłannika węgierskiego rządu z czeskimi emigrantami. Ja niestety bezskutecznie mierzyłem imponujący budynek, surowy napis informował: budynek prywatny, zwiedzać nie można.

Łatwiejsze zadanie miałem z drugiej strony słynnej wyspy. Do znajdującej się na Quai d'Orleans polskiej biblioteki można wchodzić. To jeden z najliczniejszych zagranicznych zbiorów polskich książek. Znajduje się tu również muzeum A. Mickiewicza. Ten wybitny polski poeta europejskiego romantyzmu, długie lata spędził w Paryżu. Ale o polskiej literaturze opisującej Paryż pisano już wiele. To bogaty i interesujący temat. Wszakże również Polacy bacznie obserwowali stolicę świata.

Krakowski historyk literatury Franciszek Ziejka, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, niedawno poświęcił cały tom związkowi Polski ze stolicą Francji przełomu wieków. Wielowarstwowy ruch literacki i artystyczny „Młodej Polski”, polski neoromantyzm i secesja były ściśle związane ze światem francuskim. Polscy artyści licznie spieszyli do Paryża by szukać natchnienia i

szczęścia. Tam, gdzie od dziesiątek lat istniało polskie życie, stowarzyszenia artystyczne, literackie, a nawet wychodziły polskojęzyczne czasopisma. Pod koniec zeszłego stulecia przybyli do francuskiej stolicy wielcy odradzającej się literatury polskiej, np. Reyumont i Żeromski. W Paryżu w 1912 r. wystawiono także dramat Wyspiańskiego -Wesele, co świadczy o tym, iż Polacy byli znani światu francuskiemu.

Także w drugiej połowie XX. wieku ta tradycja nie została przerwana. Paryż nadal stanowi jedno z najważniejszych miejsc geograficznych literatury polskiej znanej na wszystkich kontynentach. W intelektualnym życiu polskim do legendy urosło znaczenie paryskiego czasopisma - „Kultura”. Ja także przy okazji jednej z moich paryskich wędrowek, odwiedziłem redaktora naczelnego tego pisma Jerzego Giedroyc'a. Dotarłem tam charakterystyczną kolejką podmiejską, do leżącego za trzecim łukiem Sekwany (do śródmieścia) -Maisons Lafitte. Skromny budynek jest ośrodkiem redakcji i wydawnictwa. Miła pani posadziła i poczęstowała mnie kawą i herbatą, poczym po krótkim oczekiwaniu wszedł elegancki, starszy pan o łagodnych rysach twarzy. Żywo interesował się literackimi związkami polsko-węgierskimi. Z żalem stwierdził, że wprawdzie „Kultura” z założenia stara się pokazywać życie Europy wschodniej i centralnej, ale niestety do przedstawiania węgierskiego życia intelektualnego nie ma wystarczających osobistych kontaktów. Zapytał, czy znam Györgya Gömöri, który stanowi dla niego podstawowe źródło informacji w sprawach węgierskich. Odparłem, że właśnie za jego pośrednictwem ich czasopismo dociera na Węgry, można je dostać w bibliotece Akademii.

Od końca lat siedemdziesiątych jestem stałym czytelnikiem tego

czasopisma. Prawie od dwudziestu lat czytam każdy jego numer. W tym czasie z podnieceniem oczekiwałem wiadomości o nadejściu każdego kolejnego numeru do biblioteki Akademii, gdyż wtedy mogłem go otrzymać na weekend jeszcze przed opracowaniem. To paryskie polskie czasopismo było moim nauczycielem, mistrzem. Z jego różnorodnością tematów, informowaniem na temat międzynarodowych ruchów politycznych, przybliżaniem polskich problemów w wymiarze europejskim. Przedstawiało nowy punkt widzenia na możliwości nauki, badań, ich przyszłości i odkryć mechanizmów funkcjonowania „istniejącego socjalizmu”. Na łamach „Kultury” można było spotkać się z przedstawicielami polskiej emigracji największego formatu, z Konstantym Jeleńskim, który wyniósł utwory Gombrowicza na światło literatury światowej, z Gustawem Herlig-Grudzińskim, publikującym tomy, o ogromnej sile oddziaływania, na temat świata sowieckich gułagów. Od końca lat siedemdziesiątych w czasopiśmie tym coraz częściej ukazywały się wielobarwne postacie intelektualnego świata polskiego oporu. I tak można było przeczytać tu nowe pisma, wiersze i myśli Czesława Miłosza.

Od dziesiątek lat jednym z podstawowych dążeń „Kultury” jest niesienie informacji polskim wschodnio-centralno-europejskim miastom oraz budowanie związków z sąsiadami. Giedroyc i jego współpracownicy konsekwentnie stawiali czoło stereotypom i mitom, które sprawiały, że spoglądano z góry na Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Jeśli w polskim życiu intelektualnym umocniła się umiejętność dostrzeżenia faktu, że ludy tych obszarów skierowały się ku sobie, to paryskie czasopismo odegrało w tym bezsprzecznie ogromną rolę.

Csaba Kiss Gy.
(Napi Magyarorszáig, 15.01.2000.)

KALEJDOSKOP

NIE SKREŚLIŁ, LECZ DOPISAŁ

W numerze wigilijnym wychodzącego w Budapeszcie trzy razy w tygodniu piśmie „Wieści Polskie” w 1942 r. umieszczono kolędę polską. Ale nikt z redaktorów nie mógł sobie przypomnieć brzmienia czwartej zwrotki. Jakież było zdziwienie, gdy numer kontrolny wrócił z urzędu kontroli prasowej: cenzor węgierski dopisał brakującą zwrotkę...

Ale radca węgierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych *István Mészáros* nie był zwykłym cenzorem. Zasłużył się dla idei przyjaźni węgiersko-polskiej, tłumacząc wiele dzieł literatury polskiej na język węgierski. Współpraca z nim redakcji była raczej przyjacielska, bo raczej dopisywał a rzadko kiedy skreślał.

Z. Antoniewicz

HENRYK SŁAWIK

W pierwszych tygodniach po wrześniowej klęsce Węgrzy nie mieli jeszcze jasności w kwestii, co począć z polskimi uchodźcami. Również Polacy, którzy znaleźli się na Węgrzech, nie wiedzieli, co z sobą robić. Łato się więc wino, zaczęła się demoralizacja. Wtedy właśnie znalazła się grupa nieznanymi szerzej ludzi, świetnych działaczy, którzy wzięli ster w swoje ręce.

Henryk Sławik - nauczyciel z tarnowskiego, działacz lewicowy - był pierwszym, który spotkał się z pełnomocnikiem rządu węgierskiego do spraw polskich *Józsefem Antalem* i żywiołowo zaprotestował przeciwko temu, co się działo.

- Przypominam sobie dokładnie pierwsze spotkanie ze *Sławikiem* - wspominał *Antall*. - Przyszł do mnie wzburzony. Tak nie może być - mówił. - Wojna będzie długa. My musimy zwyciężyć. Kraj będzie nas potrzebował. Polacy nie mogą wałkonić się na Węgrzech. Muszą się uczyć, pracować. Muszą stworzyć swoje środowiska i mieć swoją organizację. *Sławik* od pierwszego wejrzenia zrobił na mnie duże

wrażenie, był energiczny, wiedział, czego chce. - Czy wobec tego jest pan gotów przyjąć odpowiedzialność za Polaków na Węgrzech? Czy podejmuje się pan prowadzić komitet polskich uchodźców? - zapytał *Sławika*. Odpowiedział bez wahania: tak!

Tadeusz Olszański

SZPIEG

W odległości 26 km od Budapesztu leży piękna klimatyczna miejscowość Leányfalu. Znajdował się w niej duży obóz uchodźców polskich artystów plastyków, śpiewaków (m.in. znany tenor *Witold Lutoszyński*), działaczy społecznych i politycznych. Niemcy chcieli tam poprzez poselstwo i Ministerstwo Spraw Zagranicznych umieścić osobę, którą Polacy rozszyfrowali jako szpiega niemieckiego. Dyrektor departamentu opiekującego się uchodźcami odmówił. Kiedy jednak początkowa „prośba” niemiecka zmieniła się w konkretne żądanie, dyr. *József Antal* musiał ustąpić: po kilku dniach skierował owego szpiega do Leányfalu, aby „mógł się tam leczyć”, jak brzmiała argumentacja Niemców, ale przed tym przeniósł 217 Polaków do innej wsi...

(Ze wspomnień
Zdzisława Antoniewicza)

ROCZNICE

- 75 lat temu zmarł *Władysław Reymont*, jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich, laureat Nagrody Nobla w 1924 roku za epopeję z życia wsi polskiej „*Chłopi*”
- 200 lat temu urodził się „węgierski *Mickiewicz*” - *Mihály Vörösmarty*, poeta okresu reform. Jego utwory epiczne, liryczne i dramatyczne stawiają go wśród największych postaci literatury węgierskiej.
- 250 lat temu urodził się *Ignacy Potocki*, pisarz, zwolennik reform, jeden z twórców Konstytucji 3 Maja, Marszałek Wielki Litewski.
- 475 lat temu miał miejsce w Lublinie tzw. „*Hold Pruski*” złożony królowi *Zygmuntowi Staremu* przez księcia pruskiego *Alberta Hohenzollerna*, byłego mistrza Zakonu Krzyżackiego.
- 630 lat temu zmarł *Kazimierz Wielki* - ostatni król Polski z dynastii Piastów.
- 1000 lat temu cesarz niemiecki *Otton III* na Zjeździe Gnieźnieńskim uznał niezależność władcy polskiego *Bolesława Chrobrego*.

Zebrał J.K.



„WSPÓLNOTA POLSKA”

Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” obchodzi 10-tą rocznicę istnienia. Od początku prezesem organizacji integrującej i utrzymującej więź z Polakami rozsianymi na całym świecie jest prof. *Andrzej Stelmachowski*. Rocznicą zbiega się z początkiem emisji nowego miesięcznika dla Polonii pt. „Salon Polski”.

Gratulujemy jubileuszu.

TELEGAZETA

Pomimo kilku sprostowań z naszej strony Telegazeta TV Polonia w dziale „Organizacje Polonijne na świecie” (str. 288) od dłuższego czasu pod hasłem Węgry, ponownie błędnie wymienia adres Stowarzyszenia Bema, pomijając naszą drugą organizację. Drodzy redaktorzy, prosimy pilnie o korektę (prawidłowe dane znajdują się m.in. w numerze)

KALENDARZ

Staraniem Stowarzyszenia Katolików Polskich p.w. św. Wojciecha na Węgrzech (1103 Budapest, Óhegy u. 11, tel/fax 262-5502) ukazał się kalendarz ścienny na rok 2000, czczący pamięć polskich żołnierzy na Węgrzech w sentencjach Jana Pawła II. Ilustracje stanowią fotografie znajdujących się tu poloników.

Wydawnictwo zostało sfinansowane przez Fundację Pomocy Polakom na Wschodzie.

POLSCY UCZENI NA WĘGRZECH

U schyłku średniowiecza żyli na Węgrzech i tworzyli sławni już za życia dwaj polscy uczeni: Marcin Król z Żurawicy (ok. 1422 - 1469) oraz Marcin Bylica z Olkusa (1433 - 1494). Pierwszy z nich wybitny uczony matematyk i astronom, działał w Nagyvárad, gdzie między innymi zorganizował pierwsze obserwatorium astronomiczne w tym mieście. Drugi przybył z grupą uczonych z Krakowa. Do 1465 roku zakładał on Akademię Bratysławską a następnie w Budzie, obserwatorium astronomiczne i bibliotekę uniwersytecką tzw. „*Corvine*”. Był to jeden z największych księgozbiorów humanistycznych w ówczesnej Europie.

PRZEWODNIK

W połowie ub. roku ukazał się w Polsce pierwszy przewodnik po Węgrzech dla turystów rowerowych. Mottem publikacji wydanej przez AMP jest: „*Magyarok opanowali te ziemie na koniach. Ty zdobądź je na rowerze!*” Przewodnik zawiera 17 tras rowerowych po najciekawszych zakątkach kraju z informacją o adresach biur podróży, hoteli i kempingów. Dużą pomocą może służyć zamiesz-

czony w nim mini słowniczek polsko-węgierski.

Miejmy nadzieję, że na szlakach rowerowych Węgier ujrzymy w przyszłości coraz więcej polskiej i polonijnej młodzieży z przewodnikiem zredagowanym przez córkę obecnego ambasadora RP w Budapeszcie, panią *Dominikę Łubczyk*.

J.K.

TABLICA DLA ISTÓKA

Wygląda na to, że zainicjowana na łamach Głosu idea Heleny Révész o umieszczeniu tablicy pamiątkowej na ścianie budynku w którym żył i pracował, twórca pomnika gen. Józefa Bema w Budapeszcie – János Istók – ma szansę realizacji.

Wszak ubiegłoroczny apel o zbiórkę środków na ten cel nie znalazł jak dotychczas oddźwięku wśród potencjalnych sponsorów, przede wszystkim, polonijnych instytucji, nie oznacza, że temat uległ zapomnieniu i nie leży na sercu tutejszych Polonistów.

Niedawno wpłynęła na konto Stowarzyszenia pierwsza kwota pieniędzy. Ofiarodawcą 25000 forintów jest długoletni członek naszej organizacji Elżbieta Geppert z Gödöllő. Dziękujemy i czekamy na naśladowców.

J.K.

TISZTELT TAGUNK! TISZTELT PÁRTOLÓTAGUNK!

Először is szeretnék megköszönni mindenkinek, akik a múlt évben az adójuk 1%-val támogattak a Magyarországi Bem József Lengyel Kulturális Egyesületet.

Tájékoztatásul közöljük, hogy az 1999-ben befolyt 119.382.- Ft, mely összegből - bár szerényen - Tagozatainknak is juttattuk.

Tisztelettel kérjük, hogy - amennyiben egyetért az immár negyvenkettedik éve működő egyesületünk létjogosultságával és célkitűzéseivel - 1999. évi személyi jövedelemadójának 1%-át is ajánlja fel az Egyesületünknek.

Támogatásukat előre is köszönjük.

Adószám: 19000943-1-41

A Magyarországi Bem József Lengyel Kulturális Egyesület

1051 Budapest, Nádor u. 34.II.em.1

Tel.: 311-0216, 312-8204

Z listów do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Szukam moich korzeni. Niedawno wpadł mi w ręce i przeczytałam w „Nowinach” artykuł pt. „Kochanowski na Węgrzech” o wspaniałej pracy Pana wśród polskiej Polonii, a cytując: „wyszukujemy wszystkie ślady polskości na Węgrzech” - natchnął mnie myślą, że może odnajdę swoje korzenie, które jak mi opowiadał ojciec prowadzą na Węgry, do Budapesztu.

Nosimy niespotykane w Polsce nazwisko Kludacz. Mój nieżyjący Ojciec mówił mi, że to nazwisko węgierskie. Mój pradziadek Feliks Kludacz przywędrował z Węgier i osiadł w południowo-wschodniej Polsce. Brat mojego pradziadka - Wojciech Kludacz pracował na Węgrzech, ożenił się z węgierką (jeszcze przed I wojną światową), miał dwóch synów: Karola i Alojza, którzy mieszkali w Budapeszcie, oboje byli żonaci. Jeden z nich bezdzietny, drugi miał dzieci. Karol i Alojz Kludacz zmarli chyba przed II wojną światową. Z nimi nie mieliśmy kontaktu, ale ich ojciec - Wojciech przyjechał do Polski i osiadł w Kobylanach koło Dukli.

W Kobylanach mieszkają potomkowie rodziny Kludaczów. Mieszkamy na tej samej parceli na której osiadł Wojciech Kludacz, a moi bracia noszą to same nazwisko.

Może w Budapeszcie pozostali też potomkowie o takim nazwisku. Mam nadzieję, że w radiowej audycji „Polskie ślady na Węgrzech” wykozysta Pan mój list.

P.S. Mam przyjemność wspomnieć, że nasz nauczycielski chór „Echo” w Krośnie już dwa razy gościł na Węgrzech w ramach współpracy kulturalnej. Daliśmy wiele koncertów i dużo zwiedzaliśmy. Gościliśmy też u nas zaprzyjaźniony chór węgierski.

Z poważaniem

Krosno, 25.01.2000 r.

Janina Węgrzyn zd. Kludacz
38-400 Krosno

Szanowny Panie Redaktorze!

Pański adres otrzymałem w Instytucie Polskim, spróbuję krótko opisać sprawę, którą fatyguję Pana.

Na początku lat 70-tych byłem sekretarzem Hazafias Népfőnténa (odpowiednik polskiego: Frontu Jedności Narodowej - przyp. tłum.) w Pápa. Nie pamiętam w którym to było roku, gdy w towarzystwie tłumacza pana Pála Domszkyego (który nota bene był młodszym bratem mego dziadka ze strony ojca, niech im ziemia lekka będzie!) odwiedził mnie pewien polski pułkownik, doskonale mówiący po węgiersku. Interesowała go sprawa Polaków przebywających tu w czasie II wojny światowej. Podjąłem temat i okazało się, że wielu Polaków zatrudnionych wówczas w miejscowej rzeźni pozostali i zamieszkali w mieście. Pułkownik spotkał się z nimi, dużo rozmawiał. Jak mówił, zbierał materiał do pisanej książki o polskich uchodźcach przybyłych na Węgry.

Chciałbym się dowiedzieć, czy książka taka ukazała się i w jaki sposób można ją zdobyć?

Tu w Pápa też powstał Polski Samorząd Mniejszościowy. Dobrze by było gdyby i oni mieli dostęp do takiego dokumentu, ich działalność i wiedza o tym okresie była by pełniejsza.

Nic bliższego nie wiem o panu pułkowniku, nie pamiętam nawet daty kiedy u nas przebywał. W Instytucie Polskim powiedziano mi, że jeżeli ktoś potrafi odpowiedzieć na moje pytanie, to tylko Pan. Jestem pewny, że się to Panu uda. Oczekuję odpowiedzi.
Pápa, 1.11.1999r.

Z poważaniem Hazai Sándor
8500 Pápa, Korona u. 20

Od red. Bardzo trudno odpowiedzieć na Pańskie pytanie. Książek o losach polskich uchodźców na Węgrzech ukazały się setki. Pisali je świadkowie wydarzeń, dziennikarze, historycy. Jednym ze znanych mi historyków wojskowych, gen. Włodzimierz Mus przebywał na początku lat 70-tych na Węgrzech, gdzie pełnił służbę attache wojskowego. Obok obowiązków zawodowych zbierał on materiały dotyczące wspólnej przeszłości. Wydał wiele publikacji m.in. o generale Józefie Wysockim. Jego ewentualna praca na temat polskiego uchodźstwa nie wpadła mi jeszcze w ręce. Mam nadzieję, że

istnieje taka książka i to właśnie o nim wspomina autor powyższego listu.

J.K.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

Od pewnego czasu interesuję się historią i kulturą Węgier i chociaż nigdy nie byłem w tym kraju, czuję się z nim związany nie tylko poprzez zainteresowania, ale także emocjonalnie, bowiem rodzina mojej babci wywodziła się z Węgier.

Szpecially bliskie są mi ślady kultury węgierskiej w Polsce, a zwłaszcza w Gdańsku. W przeszłości wielu Węgrów przebywało w tym mieście. Interującym przybyłem był na przykład emigrant polityczny Adam Vay, który przebywał tu aż do śmierci w 1719 roku. Jego epitafium w kościele św. Elżbiety od lat inspirowało moją wyobraźnię. Podobno na początku naszego wieku (w 1906 r. - źródło to niesprawdzone) oryginalne epitafium zastąpiono kopią, być może wydobyto także spod posadzki trumnę z ciałem barona. Oryginał epitafium musiał zatem trafić na Węgry. Sądzę, że mogło mieć to związek ze sprowadzeniem prochów Rakoczego. Gdzie jednak może się znajdować? (w katedrze w Koszycach?) Jednym słowem szukam węgierskich śladów Adama Vaya, chciałbym napisać o nim obszerny artykuł. W polskich opracowaniach brakuje portretu marszałka, jego herbu.

Wiem, że interesuje się Pan historią i posiada bogatą wiedzę na temat dziejów Węgier. Może potrafiłby Pan pomóc w rozwiązaniu choć części zagadek?

Pozdrawiam serdecznie i z góry dziękuję za pomoc.

Gdańsk, listopad 1999 r.

Waldemar Borzestowski

Od red. Sprowadzenie zwłok Adama Vaya rzeczywiście ma związek z ponownym pochówkiem księcia Rakoczego. Obu bohaterów powstania „kuruców” sprowadzono na Węgry w 1906 roku. Marszałka pochowano w jego dobrach rodzinnych w miejscowości Vaya w północno-wschodnich Węgrzech, gdzie w byłym zamku znajduje się także muzeum. Prochy księcia Rakoczego natomiast spoczywają w Koszycach. Epitafium w Gdańsku jest kopią. Portret Adama Vaya wysyłam listownie.

J.K.

Odeszli na zawsze ...

Niestety, znowu zmniejszyła się nam polonijna rodzina. Odchodzi generacja ludzi, którzy przez wiele dziesiętników lat stanowili trzon polskiej społeczności na Węgrzech.

W grudniu ub. roku pożegnaliśmy „naszego Władka” - seniora - *Władysława Borysa*. Był najstarszym weteranem Stowarzyszenia Bema, żołnierzem '39 roku.

Pod koniec września tego roku, wraz z tysiącami rodaków

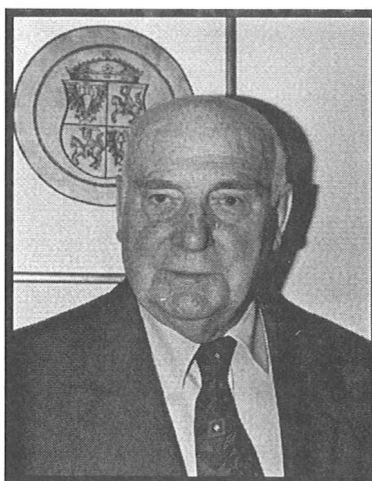
przekracza granicę Węgier, które stały się dla Niego od tej pory drugą Ojczyzną. Jako internowany przebywał w kilku obozach. Jak większość również On próbował przedostać się

do Francji, aby walczyć dalej. Nie udało się. Pozostał więc tutaj, i tu oczekiwał się końca wojny.

Ożenił się wówczas, założył rodzinę.

Mało kto wie, że *Władek* wraz ze *Stefanem Bielickim* (również uchodźca wojenny) był założycielem i organizatorem Węgierskiego Związku i Ligi

**WŁADYSŁAW
BORYS**



Piłki Siatkowej, a przy tym - znakomitym graczem.

Przez blisko czterdzieści lat pracował w Biurze Radcy Handlowego Ambasady Polskiej. Aktywnie udzielał się w pracach Stowarzyszenia Bema, gdzie Jego doświadczenie i rady były niezwykle pożyteczne. Był powszechnie lubiany i szanowany.

**Cześć Jego
pamięci!**

Również w grudniu ub. roku zmarła w Székesfehérvár pani *Michalina Cichalewska*. Urodziła się w Budapeszcie z ojca Węgra, matki Polki, lecz większość życia spędziła w Polsce. Wybuch wojny i lata okupacji, do 1943 roku spędza w Warszawie, gdzie wraz z mężem prowadzi

działalność konspiracyjną w AK. Ich mieszkanie jest punktem kon-



taktowym kurierów rządu londyńskiego na trasie Warszawa - Budapeszt. Koniec wojny zastał ją w stolicy Węgier, po czym znowu wyjeżdża do Polski. Państwo *Cichalewscy* osiedlają się w Opolu, gdzie mieszkają blisko 40 lat. Ostatnie lata życia

pani *Michalina* spędza na Węgrzech u syna. Do końca aktywna w dzia-

łaniach na rzecz przyjaźni polsko-węgierskiej.

Jej bogate, pełne niecodziennych wydarzeń życie jest godne osobnej powieści. Nie lubiła mówić o sobie, o swoich zasługach.

Miejmy nadzieję, że teraz dzięki pomocy syna *Władysława*, uda się nam poznać fragment Jej bujnego życiorysu.

**MICHALINA
CICHALEWSKA**

**Na zawsze pozostanie
w naszej pamięci!**

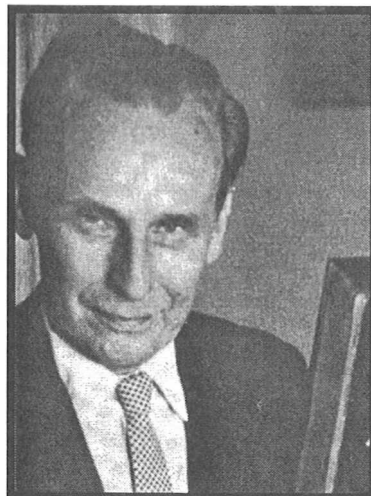
W styczniu b.r. dotarła do nas kolejna smutna wiadomość. Po długiej chorobie zmarł Dr *Zoltán Kovássy*. Przez blisko trzydzieści lat był członkiem naszego Stowarzyszenia. Gdy

był w pełni sił - w latach 70 i 80-tych wiele pisywał w wydawanych przez nas Biuletynach, był autorem wielu inicjatyw m.in. wystawienia popiersia gen. *Józefa Wysockiego* w ogrodzie Muzeum Narodowego

**DR ZOLTÁN
KOVÁSSY**

oraz zorganizowania w 1972 roku pierwszych Dni Polskich w Isaszeg, które weszły już do tradycji i kontynuowane są co roku do chwili obecnej.

Zoli bącsi był prawdziwym przyjacielem Polski i Polaków. Świetny znawca historii obu



naszych krajów.

Za zasługi na polu umacniania przyjaźni między naszymi narodami w 1988 roku odznaczony został odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej”.

**Cześć
Jego pamięci!**

„Bieg przez stulecie – rozmowa z Camillą Mondral

W Polsce nazwisko *Mondral* nie jest nieznane. Pierwszym, który je rozślawił był artysta- malarz i grafik, *Karol Mondral*, ojciec znanej tłumaczki literatury węgierskiej, *Camilli Mondral*. Wielu z nas, przedstawicieli Polonii, którzy przybyli na Węgry „za głosem serca” i najczęściej nie znali języka węgierskiego, właśnie z jej przekładów poznawało znakomitą literaturę węgierską. Pani *Camilla*, która nieraz gościła w naszym Stowarzyszeniu (jej nieżyjący już syn, *Stefan Peksa* był nawet w pewnym okresie członkiem zarządu), spotkała się ponownie z nami we wrześniu ubiegłego roku. Przyjechała do Budapesztu na zorganizowaną przez Bema we współpracy z Instytutem Polskim konferencję poświęconą 60-leciu uchodźstwa polskiego na Węgry, a potem znalazła jeszcze czas, by przybyć do nas na wieczór autorski.

Camilla Mondral: Przed wybuchem wojny pracowałam w Ministerstwie Spraw Wojskowych i bardzo aktywnie zajmowałam się sportem. Biegałam na 100 i 200 m, uprawiałam szermierkę. To właśnie dzięki niej jeszcze przed wojną byłam na zawodach w Budapeszcie, gdzie poznałam przemiłą rodzinę szermierza *Badiego Palócza*. To właśnie ona przygarnęła mnie do siebie wówczas, gdy w 1939 r. przyjechałam na Węgry (przez Rumunię) jako uchodźca. Węgierskiego nie znałam, ale za to biegle mówiłam po francusku (urodziłam się i wychowałam w Paryżu), angielsku, słabiej po niemiecku i rosyjsku. Natychmiast włączyłam się do „polskiej roboty”. Pomagałam w przygotowywaniu ucieczki polskich żołnierzy do Francji przez Jugosławię. Pracowałam w Poselstwie Francuskim w biurze attaché wojskowego, gdzie wydawane były paszporty francuskie dla Polaków, naturalnie pod zmienionymi nazwiskami. Cała tak akcja skończyła się 30 maja 1940 r. i wówczas ja też wyjechałam do Zagrzebia, by stamtąd przedostać się do Angers do przygotowanej już dla mnie pracy w Polskim Rządzie. Niestety, Włosi zamknęli granicę i nie zdążyłam już na statek ze Splitu do Marsylii. W Jugosławii przebywałam do końca września, a kiedy zaproponowano mi obóz dla cywilnych uchodźców, przez zielo-

ną granicę wróciłam na Węgry. Uczylałam francuskiego, a potem zostałam zaangażowana na guwernantkę syna generała *Károlya Lázára*, dowódcy gwardii królewskiej. Wówczas postanowiłam nauczyć się węgierskiego, co pomogło mi później w dalszej mojej pracy. Oczywiście przez cały czas pobytu na Węgrzech działałam w polskiej służbie kurierskiej „W”. Kiedy na Węgrzech rozpoczęła się wojna, zostałam aresztowana przez Gestapo, siedziałam w więzieniu na Fő utca, gdzie spotkałam się z *Barbarą Czerwińską* – współpracownicą dr. *Józsefa Antalla* i *Gracją Kerényi*, późniejszą znakomitą tłumaczką literatury polskiej. Wraz z *Barbarą* wywieziono nas do obozu w Austrii. Szczęśliwie przeżyliśmy, wróciliśmy najpierw do Budapesztu, a stąd we wrześniu 1945 r. do Polski.

Alicja Nagy: – Jak to się stało, że Ty (łączy nas przeszło 25-letnia przyjaźń i stąd ten mój zwrot – p.m.) , ekonomistka z wykształcenia, zajęłaś się pracą translatorską i to z węgierskiego?

C.M.: Początkowo pracowałam w Ministerstwie Przemysłu na stanowisku dyrektora, gdzie zajmowałam się sprawami budownictwa, transportu, handlu itp. A że już wtedy przyjeżdżały do Polski węgierskie delegacje, niejednokrotnie proszono

mnie o tłumaczenie. Prof. *István Csapláros* – założyciel Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie (1947) od początku swej działalności w Polsce namawiał mnie do zajęcia się tłumaczeniami literatury węgierskiej, jednocześnie dając mi do tłumaczenia jakiś pilny tekst czy napisanie recenzji. I tak powoli zaczęłam się wciągać w sprawy kultury węgierskiej. Kiedy sprawy w ministerstwie przestały mi się podobać, poszłam do pracy na stanowisko redaktora literatury węgierskiej w wydawnictwie „Czytelnik”. Wówczas rzeczywiście dobrze już poznałam literaturę węgierską, ucząc się jej z podręczników podrzucanych mi przez prof. *Csaplárosa*. Namówiłam prezesa Czytelnika do wydania klasyków węgierskich: *Mikszátha* i *Jókai*a. A że nie było odpowiedniego tłumacza, podjęłam wyzwanie i zabrałam się do roboty. Później mogłam zostawić pracę w wydawnictwie i zająć się tylko tłumaczeniami. W 1955 r. jako pierwsza polska tłumaczka przyjechałam do Budapesztu na stypendium dla młodych tłumaczy, co może się wydawać nieco dziwne, gdyż wówczas przekroczyłam już czterdzieści lat.

A.N.: Twój dorobek translatorski jest bardzo bogaty, prawie 130 pozycji. Poza *Mikszáthem* i *Jókaim* przyswoiłaś polskim czytelnikom także książki m.in. *Tibora Déryego*, *Mészölya*, *Németha*, *Páskándiego* i wielu innych pisarzy.

C.M.: Najczęściej zabierałam się za książki bardzo trudne i ambitne. Niejednokrotnie sama się dziwiłam nawet, że potrafiłam je przetłumaczyć. Ale, żeby to zrobić, musiałam przeczytać nieraz nawet kilka książek z danego okresu. Tłumacząc np. sztukę *Páskándiego* „*Gościna*” przestudiowałam prace arianizmu, socynianizmu itd. Szkoda, że tę znakomitą sztukę wystawił w Polsce jak dotychczas tylko jeden teatr.

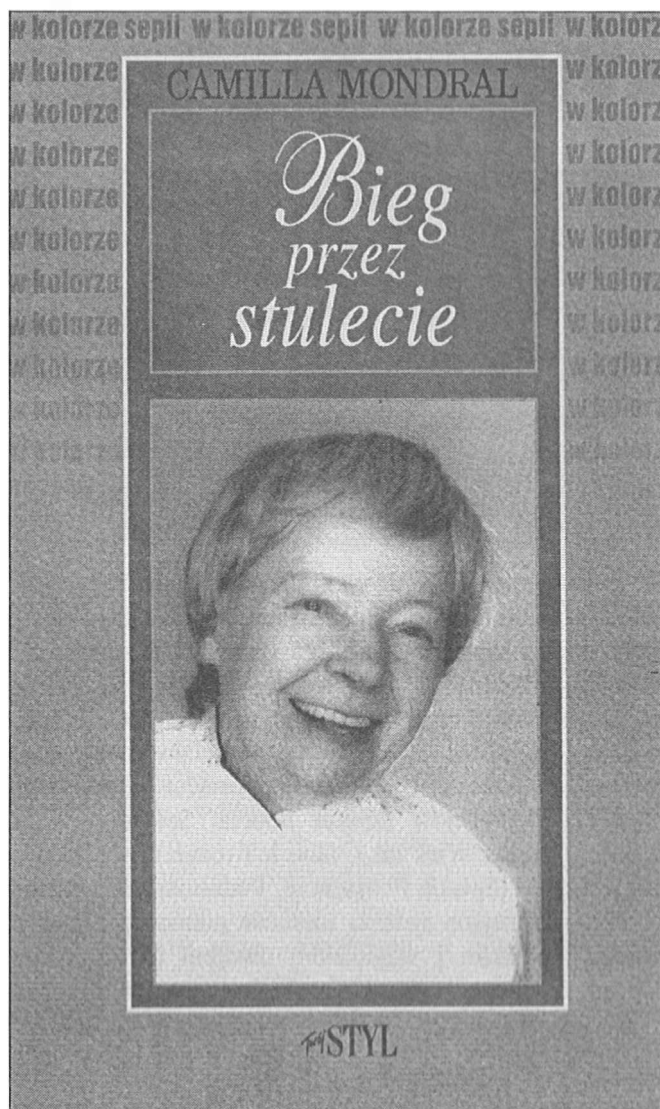
A.N.: Ale za to dzięki Twojemu

znakomitemu przekładowi sztuki Örkénya „Zabawa w koty”, pisarz ten stał się najbardziej znanym dramatopisarzem węgierskim w Polsce.

C.M.: Sztukę tę wystawiło aż 8 teatrów, a jej realizacja w Teatrze Małym w Warszawie pobiła z pewnością wszelki rekordy popularności.

A.N.: Zupełnie niedawno dowiedziałam się, że niektóre cenne pozycje z literatury węgierskiej przyswajałaś także Polakom żyjącym na Zachodzie.

C.M.: Wiktor Woroszyński przywiózł mi w 1956 r. z Budapesztu książeczkę Tibora Déryego „Odpowiedź”, którą zamierzał wydać w piśmie „Po prostu”. Zanim ją jednak przetłumaczyłam, pismo przestało istnieć. Woroszyński zaproponował więc, by przesłać ją do „Kultury” paryskiej. Ale jak? Dopisało szczęście i pomysłowość. Ponieważ w 1958 r. odbywały się w Warszawie Międzynarodowe Zawody Sermiercze za pośrednictwem kierownika francuskiej drużyny szermierczej posłałam ją do red. Jerzego Giedroycia i już w 1959 r. wydana została w Instytucie Literackim w Paryżu. W Polsce natomiast wyszła dopiero 5 lat później. Aż do 1984 r. współpracowałam z paryską „Kulturą”, uważając za swój moralny obowiązek, czy może nawet misję, za znajomienie polskiej emigracji z postępową, nie reżymową, literaturą węgierską. Kontakt ten zaowocował ponownie w 1995 r. Porządkując swoje papiery napisałam do Giedroycia list z podziękowaniem za drukowanie moich tłumaczeń. Natychmiast mi odpowiedział i zaproponował stypendium Fundacji Kultury Niezależnej Polski. I tak znalazłam się w Paryżu. A tam pan Jerzy namówił mnie, abym spisała swe wspomnienia. I tak zrodziła się książka „Bieg przez stule-



cie”. A dlaczego bieg? Miałam kiedyś poważne osiągnięcia w biegu na 100 i 200 m, biegać lubię do dzisiaj i chyba całe moje życie było właśnie takim biegiem za czymś, przed czymś.

A.N.: A wraz z książką w wieku osiemdziesięciu kilku lat narodziła się pisarka, która od razu zawojowała czytelnika. Miałaś z pewnością życie nietławe, ale bardzo ciekawe i dlatego książkę czyta się dostownie jednym tchem. A ponadto piszesz pięknym językiem i w zupełnie bezpretensjonalnym stylu. Czytelnik odnosi wrażenie, jakbyś do niego mówiła, z nim rozmawiała.

C.M.: Mnóstwo osób do mnie pisze, telefonuje, dziękując za książkę. Dotychczas popularyzowałam w Polsce pisarzy węgierskich, z których wielu było i jest moimi przyjaciółmi. Aż wreszcie nadszedł czas, kiedy mogłam coś więcej powiedzieć o so-

bie. Przypomnę tu, że książka ta nie jest moim debiutem pisarskim, ponieważ w 1995 r. wyszła pierwsza moja książeczka „Węgry, moja miłość”. Znalazły się w niej moje opowiadania o Staszku Marusarzu i o Siedmiogrodzie, zamieszczone w wydanej w 1985 r. na Węgrzech książce „Barátok a bajban” (Przyjaciele w biedzie) i trzy eseje literackie: o Gracji Kerényi, o samotności tłumacza i o mojej przyjaźni z Árpádem Gönczem.

A.N.: Camillo, w dalszym ciągu jesteś osobą niezwykle aktywną zawodowo. Piszesz, tłumaczysz, jeździsz z odczytami, a ponadto pełnisz funkcję prezesa Fundacji, założonej przy Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich.

C.M.: Jestem pierwszym prezesem tej fundacji. Rządzimy Domem Literatury, dwoma Domami Pracy Twórczej w Oborach pod Warszawą i w Zakopanem. zarabiając na ich utrzymanie

wydzierżawianiem lokali, wynajmem pokoi gościnnych, dużej sali konferencyjnej. I tu bardzo przydatne jest moje wykształcenie ekonomiczne. Właśnie dostałam odznaczenie mojej uczelni – Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, którą ukończyłam dokładnie 68 lat temu.

A.N.: Masz na swym koncie dużo rozmaitych odznaczeń...

C.M.: Chyba najbardziej sobie cenię Order „Pro Cultura Hungarica” i Order Gwiazdy Republiki Węgierskiej przyznany mi na moje 80-lecie.

A.N.: Dziękujemy Ci serdecznie za to, że chciałaś przyjąć nasze zaproszenie nie tylko na konferencję, ale i na spotkanie w Stowarzyszeniu. Dziękujemy z piękną książką i życzymy Ci dużo zdrowia, takiej samej aktywności i kolejnych książek.

Rozmawiała: Alicja Nagy

XVI miast spiskich

Jednym z ciekawszych momentów w dziejach kontaktów polsko-węgierskich jest historia „XVI miast Spiszu”, które w 1412 roku **Zygmunt Luksemburczyk** oddał Polsce jako zastaw udzielonej mu pożyczki. Podczas 360-letniego okresu, gdy miasta te należały do Polski nie doszło do ich wykupienia. Uczyniono to siłą, gdy na rozkaz **Marii Teresy** w 1769 roku zajęto je, a później przyłączono do Węgier. Wydarzenie to oznaczało symboliczny początek rozbiorów Polski. Oto dalszy ciąg artykułu **Zsolt Vesztőczy** napisanego specjalnie dla „Głosu”, którego pierwsza część ukazała się w 56 numerze GP.

W pierwszych latach po zmianie panowania nic się specjalnie nie zmieniło w tym regionie, wszak miasta, które przeszły na „polską stronę”, w dalszym ciągu funkcjonowały jak poprzednio: uniwersytet, wspólne przedstawicielstwa, wewnętrzne samorządy i zdobyte przywileje działały bez zmian. Chociaż polscy władcy nie zmieniali w owym szczególnym statucie, nad miastami nastąpiła groźba upadku ze strony starosty z Lubowni, pana tych terenów, który próbował narzucić dodatkowe obciążenia podatkowe ponad obowiązki wynikłe z dokumentu o prawie miejskim. Ciężar tej sprawy dobrze prezentuje fakt, że król Polski **Kazimierz (Jagiellończyk)** uznał słuszność skarg i stanął w obronie ludności terenów pozyskanych w drodze zastawu przed nadmiernymi roszczeniami miejscowego gubernatora. Na przestrzeni wieków miały co prawda próby ich wykupu (np. ze strony rodzin **Zápolyich** i **Csákich**), lecz na szczęście zakończyły się one niepowodzeniem, i tak mogły pozostać rzeczywiście miastami, a nie „pańszczyźnianymi wioskami” jakie stanowiły ich odpowiedniki po węgierskiej stronie.

W majątkach wcinających się w obszar Węgier zastawionych w XV wieku za pożyczkę udzieloną przez polskiego króla, nadal trwały tradycyjne związki, tak w świadomości

społecznej, jak w życiu codziennym. Jednolitość interesów oraz wspólność wystąpień miast pozostawały niezmiennie.

Obywatele zastawionych miast zwracali się do króla węgierskiego najczęściej o umocnienie posiadanych przywilejów (Spiska Sobota, Spiska Nowa Wieś itd.), albo ich rozszerzeniu (Spiskie Podzamcze, Podoliniec) a istniejące związki rodzinne pomiędzy polskim i węgierskim dworem (np. podczas panowania **Jagiellonów** na

Węgrzech) w znacznym stopniu to ułatwiały.

Ta podwójna sytuacja miała często skutek ujemny, szczególnie podczas trwania wojen, ponieważ atakowane były z obu kierunków i żadna ze stron nie brała pod uwagę niezależności tych terenów a jedynie związek jakie posiadały one z drugim krajem.

Pierwsze stulecie nie przyniosło co prawda zmian, lecz nie miało ono pozytywnego wpływu na rozwój miast, i to nie z powodu polskiego panowania lecz raczej częstych zamieszek i burzliwych sytuacji na Węgrzech. W pierwszej połowie XV wieku największym zagrożeniem nie były tu i ówdzie przemarsze wojsk, ale bandy **Husytów**, które zagnieździły się na tych terenach i przez długi czas trzymały w strachu i trwodze miejscową ludność. Po częstych spustoszeniach osady bardzo ciężko stawały ponownie na nogi.

Miasta saskie bardzo często ingerowały w zmaganiach o węgierski tron (np. w czasach **Władysława I** czy **Macieja Hunyadięgo**). Szczyt owego zaangażowania politycznego przypada na okres od 1526 do 1541 roku. Po porażce z Turkami w bitwie pod Mohács w 1526 roku gdzie poległ sam król, **Ludwik II**, tron węgierski dostał się w ręce dwóch władców jednocześnie: **Ferdynanda Habsburga** i **Jana Zápolyęgo**. W wyniku tej podwójnej koronacji przez następne półtora wieku kraj podzielony został na dwa obozy. Nawet miasta spiskie nie oparły się temu podziałowi. Większa ich część przeszła na stronę **Zápolyęgo**, a ochronę ich wobec **Ferdynanda** i cesarskiej armii gwarantował król Polski. W 1587 roku podczas zmaganiń pretendentów Szwecji i Austrii do polskiego tronu oddziały **Miksa Habsburga** zajęły tereny Spiszu lecz zgodnie z zawartym następnie





Lewocza - ratusz

traktatem pokojowym zwrócono je wybranemu władcy polskiemu.

Wojna „piętnastoletnia” (1591 - 1606) oraz Powstanie *Bocsaiego* (1604 - 1606) spowodowały poważne zniszczenia. „Zimowanie” piechoty polskiej, która wzięła udział w oblężeniu Hatvan oznaczało co prawda duże obciążenie materialne, lecz bez porównania nie powodowało to takich szkód jakie czyniły nieopłacane wojska cesarskie czy grabieże węgierskich hajduków (np. spłądrowanie Popradu). Podczas niepodległościowych zrywów książąt siedmiogrodzkich tereny te wiele ucierpiały, ale spustoszenia dokonywane przez kuruców na szczęście je ominęły. Epidemie dżumy, które były najczęściej następstwem wojen wybuchały często, i „czarna śmierć” dziesiątkowała ludność, szczególnie w miastach. Masowe zarazy na przełomie XVII - XVIII wieku w znacznym stopniu przyczyniły się do zmiany w strukturze etnicznej mieszkańców. Proporcja liczbowo ludności polskiej i niemieckiej zaczęła się stopniowo zmniejszać na korzyść Słowaków.

XVI miast spiskich nie były niestety zawsze bezpośrednio pod panowaniem polskiego króla, one także wielokrotnie stawały się podmiotem zastawu. W 1440 roku obszar ten trafił w ręce kardynała krakowskiego, później, w roku 1575 do rodziny *Lubomirskich*, aby w końcu, po osiemnastu latach stać się ich wieczystą posiadłością. Wydarzenie to stanowiło

decydujący moment, ponieważ od tej chwili życie i działalność miast wiązało się z ciągłą walką o zachowanie i utrzymanie zdobytych przywilejów i statutow, gdyż władzę starosty nad tymi osadami sprawowała rodzina, traktując je tak jak pańszczyźniane wioski na swoich włościach.

Takie podejście wydaje się nam dzisiaj jako „absolutyzm” i bezprawie, lecz wtedy były zgodne z powszechnie praktykowanym zwyczajem. Podobnie do miast spiskich, identyczna sytuacja miała miejsce w posiadłościach rodzin magnackich *Thökölych* czy *Zápolyich*. Ta nowa praktyka (np. przysięga wierności składana nie tylko wobec polskiego króla, ale także wobec starosty, to jest - wobec rodziny *Lubomirskich*, narzucanie kandydatów „na urzędy”,

zatwierdzanie wyroków sędziowskich, ograniczanie handlu i przepływu towarów itp.) krzywdziła, z jednej strony, autonomię miast, z drugiej strony nakładała nań coraz większe obciążenia (np. utrzymywanie całego żywego inwentarza *Lubomirskich*, podczas wojen „zimowanie” żołnierzy, wymuszanie licznych danin pod różnorakim tytułem, obowiązek zakupów niektórych szczególnie drogich towarów itd.)

Autonomia miast została ograniczona jedynie do możliwości pobierania podatków, codzienna praktyka starostów stosowana wobec miast przestała natomiast niemal władzę i kompetencje króla. Nawet wyroki sądowe poprzedzała formuła, iż „- w imieniu Jego Eksceleńcji księcia ...”, co dobrze ilustruje zmianę siły wpływów na tych obszarach.

Na początku XVIII wieku *Lubomirski* dwukrotnie zamierzał wciągnąć miasta w wojnę, najpierw przeciw Szwedom, później przeciw *Kurucom*, lecz w pierwszym przypadku wydarzenia na froncie, w drugim natomiast stanowcze veto polskiego króla uchroniły je od udziału w nich.

Chociaż kontakty polityczne absolwentów byłego uniwersytetu saskiego w Spiszu zanikły już w pierwszej połowie XVI wieku, to jednak diecezjalny *Fraternitas Parachorum Universitas Saxonum* przetrwał i działał do 1673 roku, i które to odegrało szczególną rolę w czasie rozprzestrzeniania się reformacji na tych



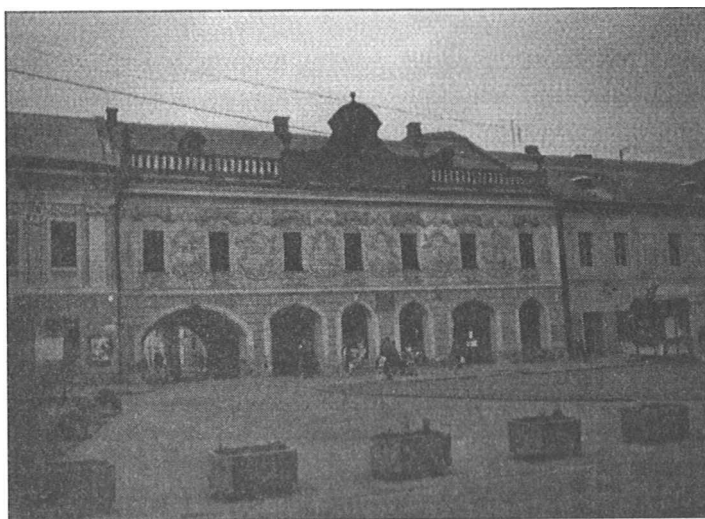
Kościół Św. Krzyża w Kieżmark

terenach. Ponieważ tutejsze społeczeństwo znało język niemiecki i samo mogło decydować o wyborze księży, przybywali tu często kapłani z Niemiec wykształceni na tamtejszych uniwersytetach. Z tych względów mieszkańcy miast Spiszu stosunkowo łatwo poznawali najnowsze trendy intelektualnych ruchów, jak np. w upowszechnianiu idei reformacji. Chociaż w miastach już na początku lat dwudziestych XVI wieku oficjalnie wprowadzono sankcje wobec propagatorów nauk *Marcina Luthra*, mimo to grody Spiszu stały się niebawem zwolennikami wyznania wiary ewangelickiej. Pomimo, iż zgromadzenie kościołów w Ménhárd w 1569 roku przyjęło zasadę wspólnej wiary, to jednak do końca wieku działały jeszcze kościoły katolickie. W okresie represji religijnych na Węgrzech liczni wygnanci właśnie na tych terenach znajdowali schronienie, bowiem tutaj jeszcze przez długi okres intolercja wyznaniowa była nieznana i członkowie rodziny *Lubomirskich* - chociaż katolicy - byli cierpliwi w stosunku do ewangelistów, występowali jedynie przeciwko anabaptystom. W połowie XVII wieku *Stanisław Lubomirski* założył w Podołńcu klasztor piarystów, który wraz ze swą szkołą stał się siłą przewodnią tego regionu w walce przeciw reformacji, głoszącej później ideę równouprawnienia katolików i wspólnego korzystania z kościołów. Otwarta nagonka na innowierców rozpoczęła się dopiero w 1674 roku. Dopóki na Węgrzech impulsem do tego był obalony tzw. *Spisek Wesselényiego*, dopóty na polskiej stronie przeważają jedynie przyczyny natury materialnej. *Tiwodor Lubomirski* miał chęć zagarnięcia podatków kościelnych płaconych przez miasta dla księży. Wszak znacznie ograniczone, od 1702 roku ewangelicy otrzymują ponownie zezwolenie na praktykowanie swego wyznania.

Dokumenty inwentaryzacji spadkowej dokładnie przedstawiają panującą wówczas sytuację, ukazują oznaki powszechnego zubożenia, gdzie obok coraz większej liczby majątków występuje ugor a większość domów otrzymuje określenie „w ruinie”. A wszystko to z powodu stale rosnących obciążeniach narzucanych przez starostów. Celem zatrzymania procesu upadłości miasta wysyłały swe delegacje do Warszawy i Wiednia, lecz na próżno, nawet osobiste wstawienie węgierskiego prymasa i gubernatora nie przyniosło pozytywnego rezultatu, co więcej, rozwścieczony tym *Lubomirski* wtracił do więzienia reprezentantów miast tego regionu. Sytuacja pogarszała się dalej, lecz w końcu sama śmierć *Tiwodora Lubo-*

barskich nie potrafił on zorganizować odpowiedniej obrony. Wykorzystała to *Maria Teresa*, której oddziały *Jána Csákyego* pod pretekstem zahamowania szerzącej się epidemii dżumy zajęły zastawione niegdyś miasta razem z kilkoma innymi położonymi na południu. Po trzech latach wojskowej okupacji, podczas pierwszego rozbioru Polski w 1772 roku, tereny te formalnie powróciły co prawda do Węgier, lecz prawo własności majątkowej wykupiła cesarzowa Austrii.

5 listopada 1772 roku delegacje miast w kościele parafialnym p.w Wniebowstąpienia *Najświętszej Marii* w Spiskiej Nowej Wsi złożyli przysięgę wierności dla królowej węgierskiej co oznaczało nowy rozdział w życiu tej prowincji. Wyznaczono tymczasowego administratora, lecz komitat Spiski za wszelką cenę chciał włączyć je do swojego terytorium. Rozpoczęła się zawzięta walka pomiędzy XVI miastami a tutejszym województwem, którą to w końcu rozstrzygnął sam król. 5.VI.1778 roku „XVI miast” przekształciło się w osobną dzielnicę, chroniąc się tym samym przed degradacją do pańszczyźnianych wiosek, co zresztą Józef II zlikwidował wraz z systemem województw, lecz



Urząd Starosty w Starej Lubowni

mirskiego w 1744 roku, ostatniego spadkobiercy rodziny, przyniosła rozwiązanie. Prawo panowania nad tym terytorium powróciło bowiem w ręce króla *Augusta III*. Nadzór nad tymi dobrami władca zlecił swej kuzynce *Marii Józefie*. Jej rządy w latach 1744 i 1757 sprawowane w duchu oświecenia rzeczywiście zatrzymały dalszy rozkład miast. Pomiędzy 1757 a 1763 rokiem panem tych terenów był *Henryk Brühl*, zaś w następnych dwóch latach - *Károly Brühl*. Ostatnim zarządcą „zastawionych” miast spiskich był *Kazimierz Poniatowski*, który zgodnie z duchem epoki sprawował władzę na tych terenach do maja 1769 roku. W czasie walk prowadzonych przez konfederatów

po jego śmierci Zgromadzenie Narodowe w grudniu 1790 roku przywróciło autonomię „XVI miast”. Dzielnicą istniała do 1876 rok, kiedy to w ramach reformy administracyjnej rozwiązano ją i wraz z innymi wolnymi miastami królewskimi (np. *Lewocza* i *Kieżmark*) przyłączono do komitatu Szepes. Ostatnie walne zgromadzenie dzielnicy pod przewodnictwem hrabiego *Albina Csáky* miało miejsce 15.VI.1876 roku w Igló. Po tym okresie właściciele zastawionych niegdyś majątków mogli dochodzić swoich praw i bronić interesów na forum zgromadzenia wojewódzkiego, które powołano 4 listopada 1876 roku.

Vesztróczy Zsolt

Wspomnienia sprzed lat

Przed jedenastoma laty, w ramach obchodów II wojny światowej Stowarzyszenie nasze ogłosiło na łamach krajowych mediów konkurs wśród Węgrów na wspomnienia o spotkaniach z polskimi uchodźcami jesienią 1939 roku.

Zamieszczone poniżej, dotychczas nie publikowane opowiadanie pani *Farkasfalviné Breznay Sarolty* oceniono za jedno z najlepszych wśród sześciu nadesłanych prac, zdobyło drugą nagrodę.

Redakcja

Gdybym mogła pamiętać tylko to co było piękne. Pięćdziesiąt lat. Opisanie ich, a w tym samej prawdy jest często zbyt męczące, często zbyt beznadziejne. Myślę, że potrzeba było bądź wielkiego fatalizmu, bądź ogromnej wiary, by człowiek nie znalazł się na zawsze wśród przegranych, by trafił na listę zwycięzców. Jak dotąd niestety bez powodzenia.

Nie o sobie jednak chcę pisać, lecz o wydarzeniach, które miały miejsce przed pięćdziesięcioma laty, a w które los wpłatał również i polskich uchodźców, a nawet rzekłabym znaleźli się oni w centrum tych wydarzeń.

W nasze życie wprowadziła ich moja młodsza siostra - która wtedy ze mną mieszkała. Ja nie bardzo zajmowałam się obcymi we wsi, wiedziałam, że tu są, ale nosiłam w sobie pierwsze dziecko, co czyniło moje dni dość ciężkimi. Moja siostra szła do biblioteki i tam właśnie ich poznała. Ponieważ na wsi wszyscy wszystkich znają bibliotekarz zapoznał ich ze sobą.

Mój mąż był żołnierzem, więc mieszkaliśmy z siostrą same, na skraju wsi w pobliżu rzeki Kerka. W czasie odpoczynku wielokrotnie słyszałam o zajęciach obserwatorów w znajdujących się obok nas koszarach: Polacy kąpią się nago. Dla nas była to wówczas rzecz dość niezwykła. Tyle o nich wiedziałam, to były pierwsze polskie oddziały.

W sąsiedztwie, u blacharza F.S. zakwaterowano eleganckiego kometanta, który przybył kilka dni później. Podejrzewałyśmy go, że nosi gorset, dosiadał konia tak wyprostowany, była to jednak tylko babska gadanina, zabawa. W każdym razie był elegancki, miał postawę skupiającą na

sobie wzrok wszystkich ludzi. Kilka dni później zjawila się jego żona, krótko po tym zniknęli. Wtedy jeszcze nie rozumiałyśmy co znaczy to wielkie poruszenie, nawet nie domyślałyśmy się jak ciężki czeka ich los. Myślałyśmy, że pozostaną na Węgrzech, szukają tylko miejsca gdzie mogliby się osiedlić. Dużo czasu upłynęło zanim wydało się, że to był przejściowy obóz. Potem usłyszałyśmy straszną wiadomość: przy tamie młyna utonęło dwoje Polaków, to była prawdziwa tragedia, jakkolwiek z dala chcieliśmy się trzymać od obcych, wstrząsnęło to nami wszystkimi. Zaczeliśmy baczniej ich obserwować. Miejsce wiecznego spoczynku znaleźć na obcej ziemi -choćby nie wiem jak przyjazna była to ziemia, - to straszne, przerażające.

Wnieśli do tej małej wioski życie, poruszenie, byli inni niż my, niezwykle inni, wzbudzali naszą ciekawość.

Mojej siostrze udało się ich poznać, przyjęłyśmy ich w domu z radością, kilka dni później oświadczyli nam: muszą wyjechać. Pogodziłyśmy się z tym. Tak zmieniali się znajomi.

Potem pojawiła się interesująca para. Wysoki blondyn, który przedstawił się jako *Henryk* i *Tadek*, który był prawie że Kreolczykiem, ale możliwe, że ten kolor przywiózł znad Bałatonu.

Jak się później okazało - to był jego pseudonim. Potem usłyszałyśmy o tych okropnościach: o oblężeniu Warszawy, o rozerwanych rodzinach, o kobietach, dzieciach, które są gdzieś w Irkucku, jeśli w ogóle są.

Wtedy Niemcy i Rosjanie żyli jeszcze w „przyjaźni”, a biedni Polacy byli między nimi uciskani.

Henryk był spokojnym, opanowanym, pewnym siebie Europejczykiem.



Pan Henryk – zdjęcie archiwalne

Zatrzymali się we wsi na dłużej, tak więc prawie codziennie spotykaliśmy się, a długie wieczory spędzaliśmy na spacerach w okolicznych lasach. Częste przebywanie ze sobą rozwiązało istniejące zahamowania. Jak się okazało *Henryk* był jednym z dyrektorów Polskiego Banku Narodowego w Warszawie. Dość gorzko mówił o oczekiwanej pomocy Anglików. Pomoc jednak nie nadeszła.

Z zapalem uczyli się węgierskiego, wzięli od nas mnóstwo książek. Tadek miał łatwość w nawiązywaniu kontaktów, był pełen temperamentu, radości i sympatii. My starałyśmy się uczynić ich życie barwniejszym i choć trochę złagodzić ich troski.

O oblężeniu Warszawy mówili zawsze ze wzburzeniem. Ten klasyczny przykład zdrady, przyniósł na polski naród ogrom rodzinnych i osobistych tragedii.

Tu w cichej zalańskiej wsi słuchano tych historii jak nierealnych opowieści. Choć i nad nami zawisł już miecz *Damoklesa*, kobieca naiwność pozwalała nam jednak wciąż cieszyć się z odzyskanych terenów.

Wicher, który później nas porwał, wydawał nam się wówczas małą chmurką. Gdzież jeszcze było do błyskawic i grzmotów, do huraganu, w którego epicentrum przyszło nam się znaleźć. Widziałyśmy tylko błękit

nieba i wiodłyśmy ciepłe małymieszczańskie życie.

W międzyczasie obóz, który założono we wsi, był w stałym ruchu. Mąż mojej przyjaciółki *Feri Karlovits* został komendantem obozu. W ten sposób nadarzyła się okazja poznać podsekretarza stanu Antallę, Hrabinę Katinę, która była siostrą naszych eleganckich sąsiadów. Pojawiała się wiele razy, była bowiem łącznikiem między polskim centrum a obozem.

Myśle o Katinie.

Pewnego dnia Henryk i Tadek przyszli podenerwowani: muszą wracać do Pesztu, do ambasady. Uwierzyłybyśmy, gdyby nie to, że zwrócili nam pożyczone książki. Bałyśmy się pożegnania, może na zawsze.

Nazajutrz o świcie dostałam wiadomość od dowódcy koszar, abym się u niego stawiła. Zaniepokoiło mnie to zaproszenie. I słusznie, moi znajomi również tam byli, złapani przez straż graniczną. Henryk prosił by zadzwonić do Pesztu do hrabiego *Széchenyiego*, który był jego towarzyszem polowań. Prosił, by go wspomógł również finansowo. To mnie trochę zaskoczyło. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że zbierali pieniądze na przekroczenie granicy.

Dowiedziałam się o tym po pięćdziesięciu latach, -od stolarza *Preloga*, który później zmadziaryzował się na Békefięgo, -tu w Budapeszcie nie uważałam tego za coś etycznego-, wtedy zrozumiałam do czego potrzebna była *Henrykowi* peszteńska pomoc.

Przesłałam telegram i udało mi się, wypuszczono ich, mogli się swobodnie poruszać, znów spotykaliśmy się codziennie.

To „niepowodzenie” rozwiązało obowiązkową, tajną konspirację, a chłopcy obiecali, że w miarę możliwości będą zawiadamiać o miejscu swojego pobytu, co też uczynili.

Oryginał załączonego tu zdjęcia dał *Henryk*, jako pamiątkę i formę przeprosin, gdyż czuł, iż przysporzył nam wielu nieprzyjemności.

Po kilku dniach odpoczynku znów wyruszyli w drogę, tym razem z powodzeniem pokonali trudności, Duet - *Kállay* nie stanął im na przeszkodzie, gdyż powiadomiono Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które nawet poparło przejście do oswobodzonych oddziałów. I tak byli dość prześladowani przez cały system, czego naturalnie wówczas nie było tak widać.

My czuliśmy, że trzeba pomóc ludziom, którzy są synami narodu, którzy zawsze sympatyzowali z Węgrami i których kochaliśmy jak braci.

Był w nich jakiś niezłamany optymizm, wiara w wygraną, przepełniało nas to zazdrością, my byliśmy bardziej pesymistyczni. Od czasów króla Macieja nasza historia mówiła tylko o przegranych bitwach.

Kiedy otrzymaliśmy list, ze szczęśliwie dotarli do Jugosławii, szczerze cieszyliśmy się wraz nimi. List napisał *Henryk*. W tym długim liście z daleka opowiadał o tym, że chciałby wypytać Sfinksa co przyniesie przyszłość: szczęście? ponowne spotkanie? Wszystko to pozostało pytaniem bez odpowiedzi. Ani o szczęściu, ani o ponownym spotkaniu już nie wspominał. Może ten apel z Państwa strony da jakąś wskazówkę, nadzieję, że o nich usłyszymy. To byłaby naprawdą dobra wiadomość.

Tadeusz obrał inny kierunek. Z Anglii przekazał w audycji węgierskiej, że dziękuje za spędzone wspólnie, niezapomniane, piękne dni w Lenti.

My niestety tego nie słyszałyśmy, ale wielu znajomych i niemieckie służby wywiadowcze tak. Wyszła z tego nawet afera, że mieści się tu obóz nie jeniecki lecz wczasowy, gdzie można zebrać piękne wspomnienia. Zaostrzyło to rygor, a nawet odwołano komendanta obozu *Feri Karlovitsa*, który jak się później okazało był również w koszarach Hadik. Jego żona, - posiadam jej zdjęcie z moją szwagierką i dwoma polskimi uchodźcami, - wraz z dwójką dzieci została wykluczona ze wspólnoty wsi, co w takim małym miejscu może być bardzo przykre.

My zostałyśmy przy niej, ale z pewnością dla wszystkich były to ciężkie dni.

Feri Karlovits dostał później jakieś odznaczenie, my mieszkaliśmy już wtedy w Csáktorny. Na zdjęciach przyglądałyśmy się szczegółom doniosłej uroczystości. To była rekompensata za poniesione krzywdy.

Potem zlikwidowano obóz, *Katinka* jeszcze czasem wpadała w drodze do Jugosławii. Niestety o naszych znajomych niewiele wiedziała, musiała załatwiać sprawy wielu tysięcy współrodaków. Mówiła: nazwiska to kryptonimy, dlatego nawet ich nie wymieniałam. Może zdjęcie da lepsze informacje o ich tożsamości. Załączone tu zdjęcia pokazują p. *Karlovits* i moją szwagierkę *Breznay Istvanné* z

dwoma mężczyznami, którzy przybyli do nas znad Balatonu.

Los mój i mojej rodziny ułożył się dość skomplikowanie i apelu, by zgłosili się ci, którzy mieli jakiś związek z Polakami, - nie czytałam. A gdybym nawet czytała, mieliśmy tyle zmarłych związanych z codziennym życiem, a to, że komuś kiedyś pomogliśmy było naturalne. Nawet nie myślałyśmy o publikacji.

Dziś już inaczej oceniam sprawę. Czuje, że to też należy do historii minionego czasu.

Kiedy pewnego dnia pojechałam do Egerszeg, córki *Karlovitsa* zapytały mnie, jak to możliwe, że o tobie nie wspomniano podczas uroczystości ku czci zasłużonych. Słuchałam zaskoczona, przecież nawet nie miałam o tym pojęcia. Potem pojawił się kiedyś w gazecie, że nowy attache kulturalny mówi po węgiersku, był tu podczas wojny, wtedy jeszcze pamiętałam jego nazwisko. Spróbowałam nawiązać z nim kontakt, zadzwoniłam. Oficjalny kobiecy głos oznajmił mi, że oddzwoniam, niestety pozostało to tylko obietnicą. Możliwe, że w tym aby ten kontakt nie został nawiązany pomógł jakiś szczególnie trudny w obsłudze telefon.

Ta porażka nie rozgoryczyła mnie szczególnie, gdyż od czasu do czasu rozkruszałyśmy nasze wspomnienia z doktorem *Józefem Hanichem*. Jako młodzieniec pomógł Polakom do Balatonu. Ja wyznaję zasadę, że pomoc, której udzieliliśmy innym, otrzymamy kiedyś z powrotem, w tym przypadku to się sprawdziło.

Mi odwzajemnili się nie Polacy przejeżdżający przez Lenti, lecz dwoje Polaków w Graz z nawiązką odplaciło mi tę odrobinę uprzejmości i sympatii, którą staraliśmy się uczynić ich tutaj - choć trochę - lepszą.

Los sprawił, że ja sama stałam się uciekinierem wraz z czteroletnią (urodzoną jeszcze w Lenti) córką.

Podczas nalotu na nasz pociąg spadła bomba i Austriacy umieścili nas w obozie. Jechałam wówczas do mojej, mieszkającej w Wiedniu szwagierki, to do niej spieszyłam, a wyszedł z tego gracki obóz.

Moje dziecko ciężko się rozchorowało, podejrzewano tyfus. Wszystkie wysiłki włożyłam w to, by moje dziecko trafiło do prawdziwego szpitala, nie do obozu, gdzie mieli tylko pogotowie sanitarne. Moje wysiłki udaremniła niemiecka pielęgniarka.

Byłam już u szczytu załamania kiedy pojawiły się te dwa „zbawcze anioły”: polska pielęgniarka *Vali* i polski lekarz *Daniel*. Zlitowali się nade mną i zaofiarowali pomoc. Zrobili wszystko, by wyciągnąć mnie ze straszego letargu pchającego mnie ku śmierci.

Doktor *Dani* zorganizował osobny pokój, jednakże proszę sobie nie wyobrażać prawdziwego pokoju. Było to odosobnione miejsce z pryczą z nieociosanego drewna. Ale był w nim piec, w którym można było napalić. Postarał się o kobietę, która przynosiła wodę, można było więc się myć. Przychodzili tu prawdziwi „polegli” różnych narodowości by się ogrzać. Przed mrozem ich nogi chronił już tylko papier. Pocieszali mnie, tą, która wtedy posiadała jeszcze mnóstwo jedzenia i jaką taką garderobę. Wtedy nie odczuwałam jeszcze cierpienia z powodu głodu. Jeszcze nie musiałam jeść tak, że łyżką po przyprawionej zupie lano mleko, bądź po jarzynach herbatę.

Oszczędzali mi tego doktor *Daniel* i siostra *Vali*. To oni odmierzali jedzenie i ode mnie zaczynali kolejkę. Łyżka do mierzenia była czysta, a ja prosiłam tylko herbatę. Porcje moją i dziecka oddawałam przyjaciółom, tym, którzy byli od nas głodniejsi.

Ten „*rajski*” stan nie potwał jednak długo, kiedy dowiedziata się o tym niemiecka pielęgniarka, zabrała nas z powrotem do szpitala, gdzie znajdowało się co najmniej trzydziestu ludzi, mężczyzn i kobiet, jak szło. Kręcące się jak liście dzieci smutnej Europy.

Daniel jednak nie poddał się, zmylił czujność niemieckiej pielęgniarki i po długich namowach udało mu się mnie skłonić, bym wymknęła się z nim w nocy z obozu i spróbowała zadzwonić do węglerskiej ambasady.

Z trudem przystałam na tę propozycję, moja córeczka była do mnie bardzo przywiązana, jakiś wieczorny nalot mógł nas na zawsze rozdzielić,

ale stan dziecka nie cierpiał zwłoki. Musiałam się zdecydować. Siostra *Vali* podjęła się opieki nad dzieckiem, to mnie trochę uspokoiło.



Uchodźcy polscy: Henryk i Tadek (z prawej strony), z lewej autorka

W ciemnościach wieczoru strażnik nie przyglądał się obozowiczom, na hasło ambulans - przepuścił nas. Mroźną zimową nocą, po zaciemnieniu spieszyliśmy w stronę miasta. W końcu znaleźliśmy jakąś budkę telefoniczną, po zmarnowaniu wielu zapalek udało nam się wreszcie skontaktować z ambasadą. Obiecali przyjechać, zobaczyć co się dzieje. A do tego czasu zapraszają: w każdą środę po południu na herbatkę, będą bardzo mile widziana. Podziękowałam, nie powiedziałam, że do mycia rak też często brakowało wody.

W drodze powrotnej na ementarzu „przedziałam” wśród grobów nalot. Próbowaliśmy schronić się w okopach, a w koronach drzew odgadnąć sens naszego życia, a może raczej śmierci. „*Niezapomniane*” przeżycie! Od tamtej pory nie czuję lęku przebywania między grobami, zawdzięczam to Polakowi. Czyż można się za coś takiego odwzajemnić?

W baraku siostra *Vali* czuwała nad moją córeczką i modliła się, byśmy wrócili.

Po kilku dniach rzeczywiście przyjechali z ambasady, niestety nie można było zabrać dziecka do szpitala. Byłoby to ingerencją w wewnętrzne sprawy Austrii. W ten sposób pierwszą rundę wygrała siostra, która bardzo nie nawiedziła Węgrów.

Mój polski przyjaciel jednak nie zaniechał swych zbawczych pomysłów. Znowu wymknęliśmy się w noc i próbowaliśmy telegramem powiadomić moją szwagierkę w Wiedniu. Poprosiliśmy w tym celu również Ambasadę.

Powiodło się. Moja szwagierka odnalazła mnie i oswobodziła. Dla Austriaczki okazało się to o wiele prostsze niż dla nas, biednych tułaczy Europy. My mieliśmy tylko serca i ból oraz krzyż, zaś możliwości na kierowanie własnym losem żadnych. Byliśmy pionkami na szachownicy, przesuwanymi tu i tam w Trianon i Jalcie.

Wielce łaskawi politycy.

Wszystko to już przeszłość. Ja zaś zebrałam kilka takich przeżyć, które wpłynęły na mój los. Poznałam mieszkańców wielu krajów, między innymi Polaków - myślę, że za ich człowieczeństwo, za gotowość do niesienia pomocy, jestem ich dłużniczką.

Starłam się zebrać wszystko z perspektywy pięćdziesięciu lat, możliwe, że wyszło to trochę niezgrabnie, niespokojnie, ale wydarzenia tak właśnie się układały. Byłabym naprawdę szczęśliwa, gdybym usłyszała o którymś z moich znajomych. Byli wśród nich zarówno młodszy jak i starsi ode mnie, może ktoś z nich jeszcze żyje. Również to należy do tej historii, że moja szwagierka postarała się, by moi wybawiciele zostali przeniesieni do Szpitala Pourazowego. To ostatnia wieść o nich.

Farkasfalviné Breznay Sarolta

